Nr. 69. Lwów, Niedziela dnia 22. Grudnia 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(*Ciąg dalszy*).

Dom bogatego ogrodnika, biały i obszerny, stał naprzeciw chaty Wierzbowej, rozdzielony z nią tylko stokiem góry, kilku przedmiejskiemi domkami i rzeką, ku której spuszczał się należący doń rozległy, cienisty ogród.

W ogrodzie tym, śród grusz i jabłoni okrytych pożółkłem liściem, Marcysia z kilku dziewczętami różnego wieku stała na zagonach i z czarnej, pulchnej ziemi, wykopywała warzywo. Powietrze było przejrzyste, rzeźwe, osrebrzone nićmi pajęczyn, wieszającemi się po drzewach i krzakach; żelazne rydle wesoło pobrzękiwały uderzając o kamienie lub twarde bryły ziemi, dziewczęta pracując gwarzyły, chichotały i przyśpiewywały. Marcysia, jak wczoraj gałęź powoju, tak dziś w warkoczu miała wielką czerwoną georginię. Wywołane zmęczeniem rumieńce ożywiły twarz jej bladawą i przychudłą. Mniej gadatliwa od towarzyszek od chwili do chwili nuciła pieśni, któremi matka na całe życie już napełniła jej pamięć a błyszczącemi oczami rozglądała się dokoła, pomiędzy drzewami i ścieżkami ogrodu. Przychodząc znalazła tu Franka, który od paru miesięcy przyjął był u ogrodnika stałą służbę a dziś powiedział jej, że wnet, wnet nadbieży do ogrodu Władek, aby pomówić z nim o ważnym jednym interesie.

Nagle, przestała nucić i rozglądać się, utkwiła wzrok w ziemi i pilnie kopać zaczęła. Na ścieżce przy zagonach, stanął młody syn ogrodnika i przemówił do niej:

— A gdzież jest gołąb panny Marcyanny?

— Został się w domu — odpowiedziała niechętnie i mrukliwie.

Chłopak śmiały i z pańska ubrany, zbliżył się i z cicha, żartobliwie przemawiać do niej zaczął. Widząc to dziewczęta mrugały do siebie, niektóre spoglądały z zazdrością na ognistowłosą dziewczynkę, która ściągnęła na siebie przychylną uwagę ładnego i bogatego chłopca a przytem zwykłego nadzorcę ich robót. Ale ona nie odpowiadała na zaczepki, żarciki i grzeczne jego słówka, aż kiedy młody człowiek schyliwszy się, szepnął jej coś do ucha, zwróciła ku niemu twarz tak rozjątrzoną, z tak gwałtownie iskrzącemi się oczami, że próbował rozśmiać się ale nie mógł; rozgniewał się, zląkł się może aby go przed ludźmi grubijańskiem słowem jakiem nie zawstydziła i odszedł. Wtedy Marcysia podniosła głowę, oparła obie ręce na rydlu i z zaciśniętemi zębami zaklęła:

— Żeby go djabli wzięli z jego żartami i z jego kochaniem! Jak mi do reszty zbrzydnie, to tak dam rydlem, że... popamięta!

W tej samej chwili twarz jej wzburzona i chmurna, rozjaśniła się i złagodniała. Rysy zmiękły, rumieniec zbladł, usta drgnęły uśmiechem nieopisanej radości i słodyczy. Rzuciła rydel i pobiegła w głąb ogrodu, gdzie pomiędzy gęstwiną drzew zaszarzały dwie męzkie postacie.

— Władek! — zawołała i zdyszana stanęła przed towarzyszem dzieciństwa swego, którego od roku blisko nie widziała. Zaledwie poznać go mogła. Urósł, zmężniał i miał na sobie czarne ubranie, które jej wydało się wytwornem. Stanęła przed nim jak wryta i patrzała mu w twarz promiennym i zarazem nieśmiałym wzrokiem. On, uśmiechnął się też przyjacielsko i z uradowaniem widocznem.

— Jak się masz, Marcysiu! — rzekł.

I ogarniając ją spojrzeniem od stóp do głowy dodał.

— Oho! jaka ładna zrobiła się z ciebie dziewczyna!

Spłonęła gorącym rumieńcem od gładkich pasem złotych włosów, aż po skraj grubej koszuli.

— Władek! — szepnęła z wahaniem — jaki z ciebie... zrobił się... panicz!

— A widzisz! — rzekł tryumfująco — kto za szczęściem goni, ten go i dogoni czasem. Nie takim ja jeszcze będę kiedyś paniczem!

Przybliżył się do niej i z cicha mówić zaczął.

— Ot jakoś dawno już nie widzieliśmy się z sobą Marcysiu! A śliczna dalibóg z ciebie teraz dziewczyna! No, prawdę mówiąc, dobraś ty była zawsze i milutka! jak będziesz dziś wracać z miasta, zatrzymaj się przy moście. Ja cię tam spotkam i odprowadzę do chaty. Czy dobrze? będziesz czekać na mnie przy moście?

— Dobrze! będę! — odpowiedziała z cicha.

— A teraz — dodał Władek — idź do swojej roboty... ja tu muszę z Frankiem pomówić o ważnym interesie i nie trzeba żeby szukając ciebie mnie tu zobaczyli...

Odeszła i widziała zdaleka jak ukryci za drzewami i wysokim płotem, dwaj chłopcy rozmawiali ze sobą z tajemniczemi i zarazem ożywionemi gestami, naradzając się niby nad czemś i umawiając. Potem Władek przebiegł koło płotu, niedaleko zagonów, śród których stała Marcysia. Wesoły był, oczy mu błyszczały i pogwizdywał z cicha a spojrzawszy na Marcysię, wykrzywił do niej twarz i podskoczył w ten sposób, jak to miał zwyczaj czynić gdy był ulicznikiem i chciał ją do serdecznego śmiechu pobudzić.

Po zachodzie słońca Marcysia stała długo na moście i wsparta o jego poręcz patrzała w głąb ulicy. Niebo spochmurniało, w dole z szumem wielkim szeroko rozlana rzeka toczyła białe piany. Koło niej przechodzili ludzie i mówili, że jutro zapewne rozbiorą i zdejmą most, bo rzeka wciąż przybiera. Ona nic nie słyszała, stała, patrzała i czekała. Zmrok zapadł... przechodzień jakiś przesunął się blisko niej i usiłował w twarz jej spojrzeć. Odwróciła się prędko i uciekła.

Biegła na górę i coraz jeszcze oglądała się za siebie.

— Oj Boże ty, mój Boże! — szeptała — nie przyszedł! nie przyszedł! taki nie przyszedł!

U szczytu już prawie góry zaskoczyła jej drogę męzka jakaś postać i w mgnieniu oka otoczyła ją ramionami.

Dziewczyna zaszamotała się i krzyknęła.

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie odemnie! puśćcie!

— Oho! — odparł młody syn ogrodnika — że nie puszczę teraz to nie puszczę! Nie na toć ty taka śliczna żeby...

Nie skończył, bo ramię jakieś silne i rozgniewane pochwyciło go za odzież i odtrąciło daleko.

— Władek! — zawołała dziewczyna.

— Cicho! — odpowiedział — nie krzycz! chodź!

Wziął ją za rękę i prowadził ku jarowi, w głębi którego zniknęli oboje.

Syn ogrodnika tymczasem zapukał z lekka do oświetlonego okienka chaty.

— Mam interes do pani Wierzbowej — zawołał.

— Proszę wejść! — odpowiedziała.

Wszedł, usiadł obok starej na ławie i zaczął jej o czemś szeptać tajemniczo i długo. Parę razy schylił się i pocałował ją w ramię. O coś prosił, coś obiecywał... Wierzbowa wstrząsała głową żartobliwie niby i pobłażliwie, uśmiechała się, to znowu gniewała się jakby i groziła...

W tejże chwili, w jarze, pod wierzbami w grubym zmroku śród którego mdłem światłem pobłyskiwała tu i owdzie woda sadzawki Marcysia i Władek rozmawiali z sobą stłumionym szeptem.

— Coś ten frant Antek bardzo bierze się do ciebie! — szepnął naprzód chłopiec.

— Bierze się! — odszepnęła dziewczyna.

— No a ty? — zapytał śpiesznie.

— A niech go licho porwie! — sarknęła — żeby on wskróś ziemi przepadł!

Chciała dalej mówić, ale przerwał jej z gniewnem wzburzeniem.

— Niech cię Pan Bóg broni, żebyś go kiedy posłuchać miała! Kiedy ci będzie drugi raz drogę zabiegał, krzycz w niebogłosy i bij go! bij obiedwiema pięściami! tłucz ile zmożesz! oczy wydrapuj! tobie nie wolno chłopców słuchać! ty moja! słyszysz!

Otoczył ją ramieniem.

— Ty moja! — powtórzył — to nic że ja do ciebie rzadko przychodziłem i ot teraz, cały prawie rok się nie widziałem. Czasu nie miałem... o sobie wciąż myśleć muszę i o przyszłości, ale zawsze ty mnie w oczach stała... niby siostra... Bywało, oczy do snu zamykam i wnet widzę ciebie przed sobą... jak żywą... czasem kiedy bardzo gniewałem się na świat, ludzi i swoją lichą dolę... cyt! słucham... jakbyś ty mnie nad uchem piosnki swoje śpiewała i zaraz lżej się robi na sercu... a dziś, kiedy ciebie zobaczyłem taką już wyrosłą i ładną, to tak mi się zrobiło, jak gdyby Pan Bóg kawałeczek nieba swego w oczy mnie spuścił... Tobie Antka słuchać nie wolno! ani nikogo! ty moja!

Przycisnął ją mocno do piersi i pocałował w czoło i usta. Dziewczyna milczała jak grób, tylko ramiona oba owinęła w około jego szyi i twarz do twarzy jego przycisnęła.

— Widzisz? — szepnął — my z tobą znamy się tak dawno... dawno... dawno...

— Oj dawno i na całe... caluteńkie życie! — odszepnęła zwolna.

— Pamiętasz, jakeś się kiedyś w sadzawce topiła a ja cię z wody wydobywał i na drzewie sadzał abyś osthła?

Zaśmieli się oboje.

— Pamiętasz, jakeśmy tu pod drzewami temi sypiali razem... i jakeś mi bajki swoje opowiadała? Matka twoja nie powróciła?

— Nie powróciła. Zapiła się gdzieś pewnie, taj pod płotem zmarła.

Chłopak wstrząsnął głową.

— Sieroty my oboje bez matki ni ojca; byliśmy i jesteśmy... ja to tylko dam sobie radę na świecie, ale ty...

— Ja z tobą! — odpowiedziała.

Ramię jego osunęło się z jej kibici. Wyprostował się i zesztywniał.

— Aha! zemną! — rzekł z ponurem szyderstwem i zamilkł.

Milczeli oboje długo. Dziewczyna spytała pierwsza.

— Władek! czegoś ty raptem zrobił się... taki jakiś?

— Nie odpowiadał chwilę.

— No — zaczął potem — widzisz! człowiek to zawsze tak! Dopóki coś strasznego daleko jest, to niby nic, a jak zbliża się, to trwoga i desperacya zdejmuje... Dziś zrana, ja był wesoły jak w raju a teraz... ot wolałbym, żeby to jeszcze za dziesiątym mostem było!

— Co? — zapytała.

— Na co ci to wiedzieć — ofuknął popędliwie — milcz i nie pytaj... Kiedy uda się, przyjdę tu, zabiorę ciebie i pojedziem razem na skraj świata, a kiedy nie uda się to... tyle mnie oczy twoje widzieć będą! Już tak! Król albo Cygan! nie czekać mi dłużej na szczęście tylko iść i samemu brać, a jeżeli nie da się wziąść, buch w niedolę czarną! jak kamień w wodę!

Osłupiała ze zdziwienia, słuchała urywanych słów jego, nic a nic ich nie rozumiejąc. Trwoga nieokreślona ścisnęła znać jej serce, bo znowu zarzuciła ramię na szyję towarzysza i usiłowała śród ciemności spojrzeć mu w twarz. Zobaczyła że rysy jego sztywne były a spuszczone oczy nieruchomem wejrzeniem patrzały w wodę. Tknięta jakby przypomnieniem nagłem, szepnęła.

— Pamiętasz? jakeś się skarżył przedemną, że matka cię odumarła a ojciec rzucił i że ci źle bardzo przy ciotce... zawsześ wtedy tak samo we wodę patrzał jak teraz!

— Bodajbym się był wtedy utopił! — wyrzekł glucho.

— Aj! Władek! Władek! — krzyknęła.

— Cicho! nie krzycz! ja chciałbym żeby od tego momentu aż po jutrzejszy ranek, cicho było wszystko na świecie jak... na mogiłkach... i żeby ludzie wszyscy posnęli jak umarli... Skarżyłem się na sieroctwo moje i na te kułaki, któremi mnie ciotka plecy okładała i na głód i na chłód i w wodę wtedy patrzałem a ty co? ty wtedy żałowałaś mnie... sierotą będąc tak jak ja... agrest mi na pocieszenie przynosiłaś, bajki gadałaś i bułki wyżebrywałaś... dobraś ty była... ja tobie tego nigdy nie zapomniał i dziś kiedy na ciebie spojrzałem wszystko mi od razu w oczach stanęło... ty moja!

I znowu objął ją w uścisk silny, namiętny a usta swe do ust jej przybliżył, ale nagle wyprostował się i ramiona mu opadły. W dali, kędyś koło rzeki, rozległo się przeciągłe, ostre gwizdnięcie.

— O! już woła! — szepnął — Franek woła! — i zrobił ruch taki jakby chciał zerwać się z ziemi. Nie zerwał się jednak.

— Jeszcze troszkę — rzekł — jeszcze troszkę przy tobie posiedzę...

Po chwili zapytał:

— Marcysiu! kiedy ty śpisz najmocniej? czy nadedniem?

— Nadedniem — machinalnie powtórzyła.

— Wszyscy ludzie najmocniej śpią nadedniem... ogrodniczysko stare i ten jego frant synalek na chrzciny się gdzieś powleką... Franek zostaje pilnować domu... no i kucharka jeszcze jest i dwóch parobków... ale oni się pośpią nadedniem jak kamienie... prawda?

— Prawda — szepnęła nic a nic słów jego nie rozumiejąc, ale drżąc od stóp do głowy. Trwoga ją zdejmowała coraz większa, obu rękami pochwyciła go za odzież.

— Władek! Władek! — szepnęła gwałtownie — dla czego ty taki dziwny? co ty sobie myślisz? co to będzie?

Wstał i ją za obie ręce ująwszy z ziemi podniósł. Oczy jego świeciły wśród zmroku przenikającym blaskiem, twarz wydawała się bladą jak papier.

— Co będzie? — odpowieeział — a ot co? albo zabiorę ciebie i pojedziemy razem na daleki wojaż... albo... już mnie nigdy nie zobaczysz... pocałujże mnie teraz... mocno...

Nad brzegiem sadzawki, która była świadkiem całego ich dzieciństwa, pod wierzbami, które teraz sypały na głowy ich deszcz drobnych kropel, splotły się ramiona i w zmroku grubym, w ciszy głębokiej, z szumem drzew mięszał się długo szmer pocałunków.

Wtem, gwizdnięcie u brzegu rzeki powtórzyło się przenikliwiej jeszcze, ostrzej i przeciąglej niż wprzódy.

— Bądź zdrowa — pośpiesznie nad płonącem czołem dziewczyny szeptał Władek — a pamiętaj mi Antka nie słuchać... i jeżeli ja prędko nie wrócę... zaczekaj na mnie... zaczekaj choćby długo... i nie myśl sobie, że już ja taki ostatni jestem... zbrodniarz... żebym inaczej urodził się, potrafiłbym może być takim samym poczciwym jak te różne kpy, co po świecie prosto sobie chodzą, bo im ludzie gładziutko ścieżki wygracowali! widzisz... mogłem cię zgubić dzisiaj... nie chciałem... boś dobra była dla mnie... a ludzie jacy dla mnie byli? Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie! Bądź zdrowa!.. Jeżeli wrócę, kupię tobie suknię jak słońce i trzewiki jak korale i na czerwonem krześle przed złotem oknem cię posadzę a sam... od rana do wieczora całować cię będę... Bądź zdrowa!

Pobiegł w górę jaru i zniknął w ciemnościach.

Nocy tej, Wierzbowa która ze starości zapewne a jak ludzie utrzymywali z powodu niespokojnego sumienia, źle zazwyczaj sypiała, kilka razy sennym i burkliwym głosem odezwała się:

— Marcysiu! nie stękaj tak! spać nie dajesz! Marcysiu! a toż co? czy zioła jakiego

napiłaś się, że ci dzisiaj snu nie ma! Wzdycha a stęka a przewraca się..

Dziewczyna wzdychała istotnie i przewracała się wciąż na sienniku swym leżącym na ziemi pod piecem, usypiala chwilami i we śnie szamotala się i stękała. Nadedniem gdy Wierzbowa zasnęła mocniej, wstała z siennika, włożyła spodnicę, skrzyżowała chustkę na piersi i cichuteńko podeszła do okna. Świtało. Wpatrzyła się w świt błękitny zaczerwienionemi od bezsenności oczami i wsparłszy twarz na dłoni zadumała się głęboko. Marzyła znać, wspominala i zarazem lękała się czegoś srodze. W głębokich źrenicach jej przesuwał się z kolei wyraz rozkoszy, czułości i niepokoju. Nagle zdało się jej, że usłyszała za rzeką krzyk jakiś. Podniosła głowę i nastawiła ucho. Istotnie, krzyczano gdzieś w pobliżu rzeki. Nie powinnoby to ją wcale obchodzić, wszak z miasta dolatywały tu o różnych porach różne halasy. Jednak porwała się z miejsca i zapominając o wszelkich ostrożnościach, wybiegła z chaty. Stanęła u szczytu ścieżki. Wrzawa złożona z kilku czy kilkunastu krzyczących głosów ludzkich trwała jeszcze, chociaż już słabła. Dolatywała ona wyraźnie z za rzeki od białego domu ogrodnika. Zakończyło ją kilka urwanych okrzyków i wszystko zapadło znowu w milczenie snu głębokiego, który panował jeszcze na mieście i przedmieściu.

Marcysia rzucila ręką.

— Co mi tam! — rzekła.

Usilowała zapewne przekonać samą siebie, że wrzawa okolo domu ogrodnika, nie miała nic wspólnego z niepokojem jej, z którego zresztą przyczyn sprawy przed sobą zdać nie mogła. Przez całą noc majaczyły jej w myśli niezrozumiałe dla niej słowa Władka i teraz znowu zjawiły się w jej pamięci.

— Co on sobie myślał? — szeptała — czemu on był... taki jakiś? co to będzie? co to będzie?

Drobny, gęsty deszcz jesienny padać zaczął. Weszła do chaty i niebawem wyszła znowu z wiadrami na ramieniu, w starej chuście zarzuconej na głowę.

Niebo było pochmurne, deszcz padał ciągle to silniejszy, to słabszy; Wierzbowa nie poszła do miasta i Marcysi nie kazała iść na robotę. Dziewczyna, uprzątnąwszy izbę i zgotowawszy śniadanie postawiła przy piecu balię z wodą i trochę grubej odzieży prać zaczęła. Do izby weszła stara kobieta, trudniąca się roznoszeniem mleka po przedmieściu.

— Czy nie kupicie dziś odrobiny mleka?— zapytała z progu.

— I owszem — odpowiedziala Wierzbowa robiąc przy oknie wełnianą pończochę — dajcie kwaterkę!

Kobieta weszła i konewkę z mlekiem przykrytą od deszczu płachtą płócienną stawiając na ławie, zaczęła:

— A wiecież o nowinie?

— O jakiej nowinie? — ciekawie zapytala Wierzbowa.

— A no, pana ogrodnika, tego... co to za rzeką... bogaty taki, złodzieje okradli tej nocy!

— Jezu, Marya! okradli! i cóż?

— A cóż? złapalić jednego ale tego właśnie, który pomagał tylko i puste ręce miał a drugi z pieniędzmi uciekł... Ponoć ogrodnik był z synem kędyś na chrzcinach, parobki pospali się... ale nadedniem jeden obudził się i światło na strychu zobaczył... a strych był pod kluczem i okna z żelaznemi kratami...

— No, to jakżeż się oni tam do niego dobrali?

— Zwyczajnie domowa sprawa, dobrodziejko! Własny ot chłopiec ogrodnika, ten ponoć nic dobrego, Franek, był tam robotnikiem głównym...

— A tobież co? — krzyknęła Wierzbowa wpatrując się w Marcysię, która w tej chwili wypuściła z ręki blaszane naczynie, w które mleczarka wlewała mleko i stanęła jak skamieniała.

— Ot i mleko rozlała! — wyrzekła stara, czy nieczysty ją opętał... calą noc spać mi nie dała stękając wciąż a wzdychając, teraz ot, ręce jej raptem zesłabły...

— Może chora? — zagadnęła mleczarka.

— A może — obojętnie rzucila Wierzbowa i dalej ubolewać zaczęła nad rozlanem mlekiem.

Po chwili rozmowy mleczarka odchodziła, Wierzbowa zawołała za nią.

— A nie wiecież, matko, kto to był ten drugi?

— Jaki drugi?

— A ten, którego złapali?

Teraz, Marcysia pochyliła się nad balią i tak silnie pocierać zaczęła grube szmaty, że aż woda wylewała się przez wszystkie brzegi.

Mleczarka odpowiedziała już z za progu.

— A nie wiem, dobrodziejko, nie wiem. Com zasłyszała tom powiedziała... więcej nie wiem. Niech będzie pochwalony...

Odeszła, drzwi chaty zamknęły się; Marcysia nad balią schylona jęknęła przeciągle. Wierzbowa przenikliwie spojrzała na nią z za okularów, lecz nic nie powiedziała.

Po godzinie prania, dziewczyna rozniecila ogień, przystawiła do niego garnki ze strawą i wybiegła z chaty. Stała długo u szczytu góry z oczami wlepionemi w miasto, potem iść ku niemu zaczęła. Wróciła jednak. Piekła ją znać trwoga jakaś nieokreślona, dręczyły przypuszczenia i domysły straszne, lecz nie wiedziała ani gdzie jest ten, o którego lękała się, ani gdzie go w dużem i ludnem mieście szukać miała. Wróciła do chaty blada jak płótno. Strawy obiednej ani tknęła, a kiedy Wierzbowa spoglądając na nią z pod oka zajadała obiad, zwróciła się twarzą ku otworowi pieca i osłupiałem okiem patrzała w płomień. Ręce jej drżały, chwilami wstrząsała się cala od stóp do głowy, uderzana niby prądem elektrycznym błyskawicznie przelatującym ale wciąż wracającym, okrutną jakąś myślą. Tymczasem, krótki dzień jesienny miał się ku końcowi. Zmierzch był bliski, gdy za oknami chaty przemknęła się szybko zgrabna postać młodego mężczyzny i do izby, z łoskotem drzwi otwierając, wpadł syn ogrodnika.

— Nie mogłem pierwej przyjść! — zawołał zaraz z progu głosem zadyszanym od szybkiego chodu, a spieszyłem się... tylko dziś u nas kłopotów, no! po uszy!

Zwrócił się do Marcysi.

— Winszuję ulubionego... gagatka! przepadałaś, słyszę, za nim... Przepadajże i teraz, kiedy możesz! złodziej on! złamał zamek, wlazł na strych i ukradł ojcu pieniądze!

Krwawy rumieniec wytrysnął na bladą twarz dziewczyny.

— Kłamiesz! — krzyknęła.

— Któż to? kto taki? kto? — wołała Wierzbowa nie rozumiejąc jeszcze lub usiłując nie rozumieć.

— A któż? aściny wychowaniec a jej... kochanek! — odrzekł młody chłopiec i śmiejąc się w pół ze złością, w pół z zadowoleniem usiadł na ławie.

— Kłamiesz! — ciszej jednak niż wprzódy powtórzyła Marcysia, rękę trzymając już na klamce drzwi a chciwe oczy zatapiając w twarzy mówiącego.

— Ale! — odpowiedział — piękne kłamstwo! prawda to jak złoto i jak dzień! Przecież złapali go tuż prawie pod domem i zaraz przyznał się... Cały już dzień siedzi w policyi a ot teraz, w tym momencie może prowadzą go do turmy.

Dziewczyna wypadła z izby i jak błyskawica przebiegła pod oknami chaty. Nikt ją nie gonił.

— Niech leci sobie — szepnął syn ogrodnika — teraz już pewno nie dopuszczą ją do niego.

Wierzbowa milczała. Coś jakby wstyd czy żal zamykał usta jej i w dół opuszczał powieki. (Dok. nast.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(Ciąg dalszy.)

Takie stanowisko zajmował Klemens VII do Kwietnia r. 1529. O tem wszystkiem musiał być arcybiskup dokładnie uwiadomiony za pośrednictwem Hieronima, który w ówczesnych działaniach dyplomatycznych tak ważną odgrywał rolę. Znajomość tych stosunków zapewne nie pozostała bez wpływu na postanowienia w tej sprawie prymasa. Przykład najwyższej głowy kościoła katolickiego czyż nie mógł do pewnego stopnia usprawiedliwiać go wobec własnego sumienia? Czy nie dawał przynajmniej rękojmi, że kurya rzymska nie zechce zbyt surowo osądzać jego postępowania? Refleksye tego rodzaju obok powyżej wymienionych pobudek wewnętrznych, tak potężnych w umyśle arcybiskupa, zagłuszyły wszelkie inne względy na stanowisko jego w kościele katolickim, dobro chrześciaństwa i t. p. i popchnęły go do czynów, które niebawem nader smutne miały sprowadzić dlań następstwa.

Arcybiskup, przywiązując pewne nadzieje do ówczesnej polityki Klemensa VII, zapominał niestety, że nie polegała ona na żadnych niewzruszonych zasadach, lecz była wynikiem chwilowych interesów. Ze zmianą tych interesów bardzo łatwo mógł papież wejść w przyjazne stosunki z domem rakuskim, a wówczas te same względy, które mu dotąd nakazywały popierać Zapolyę, mogły go zniewolić do zajęcia wręcz przeciwnego stanowiska. W takim wypadku za cenę pewnych ustępstw p święconoby króla Jana i jego zwolenników, a prymasa nie minęłyby następstwa jego nadużyć i udziału w awanturniczych usiłowaniach synowca.

Zwrot tego rodzaju w polityce papieskiej

*

przygotowywał się rzeczywiście dziwnem zrządzeniem losu właśnie wówczas, kiedy u granic Wielkopolski zbierały się owe wojska zaciężne pod dowództwem Hieronima. W tym samym czasie, kiedy w dobrach arcybiskupstwa gnieznieńskiego na wielkie rozmiary czyniono przygotowania, aby uzupełnić uzbrojenie owych hufców niemieckich i ułatwić im przechód przez Polskę, zaszły w Florencyi wypadki, które skłoniły papieża do zgody i przymierza z cesarzem.

Klemens VII pochodził jak wiadomo z słynnego rodu Medyceuszów. Jakkolwiek bez tytułu książęcego, rodzina ta przez długi czas prawie samowładnie rządziła rzeczpospolitą florencką. Ale na dwa lata przed tem wypędzono z Florencyi Aleksandra Medyceusza. Z początku nie tracił papież nadziei, że uda mu się w drodze układów przywrócić go do władzy, jednak właśnie wówczas [1]) tak stanowczą przewagę zyskało w Florencyi skrajne stronnictwo republikańskie, iż wykonanie tego planu wśród ówczesnych warunków stało się zupełnie niemożliwem. Jedynie przy pomocy cesarskiej mogli Medyceusze odzyskać swe dawne stanowisko. Względy na potęgę własnego rodu zbyt ważną odgrywały rolę u Klemensa VII i dla też porzucił on swych dotychczasowych sprzymierzeńców i odtąd starał się o przyjaźń Habsburgów. Z końcem Czerwca tegoż roku (1529) stanął traktat przymierza między Karolem V a papieżem [2]), a w cztery miesiące później nastąpił ów pamiętny zjazd w Bononii, który obydwóch jakkolwiek zawziętych dotąd przeciwników połączył jeżeli nie węzłem przyjaźni, to w sprawach politycznych stokroć silniejszą wspólnością interesów. Skutki tego przymierza niebawem dały się uczuć nieprzyjaciołom domu rakuskiego; tak bowiem Karol V, jak Ferdynand postanowili wyzyskać przyjaźń papieską dla swych celów politycznych. Dnia 21. Grudnia tegoż roku wyklął Klemens VII Zapolyę za jego związki z Solimanem, a niebawem miała dosięgnąć zemsta dworu wiedeńskiego także sędziwego prymasa polskiego.

Łascy należeli do osobistości najbardziej znienawidzonych na dworze Ferdynanda. Arcybiskup od dawna znany był w Wiedniu jako głowa stronnictwa-antyaustryackiego w Polsce, Hieronim zaś w ostatnich czasach tyle usług oddał Zapolyi i tak dalece umiał być szkodliwym domowi Habsburskiemu, iż usposobienie to względem wojewody aż nadto było usprawiedliwione. Jak wiadomo, i prymas nader żywy brał udział w usiłowaniach swojego synowca, a w r. 1529 czynił to prawie całkiem jawnie i w sposób, w wysokim stopniu dla siebie kompromitujący. Właśnie wówczas bawił w Polsce Herberstein i musiał dokładne o tem zebrać wiadomości, tem bardziej, że pomiędzy nieprzyjaciółmi Łaskich nie brakło zapewne osobistości tego rodzaju, które mu szczegółowych pod tym względem dostarczyły informacyj [3]). Z wiadomości tych postanowiono skorzystać na dworze wiedeńskim, a nie mogąc dosięgnąć samego Hieronima, chciano ukarać przynajmniej głównego jego pomocnika i doradzcę. W tym celu użyto nawet pośrednictwa samego cesarza: z jego to polecenia nakłonił papieża do wytoczenia arcybiskupowi procesu kardynał Mercurio Gattinaria, kanclerz Karola V, jak o tem w listach współczesnych donosi dokładnie w tych sprawach poinformowany Dantyszek, ówczesny poseł polski na dworze cesarskim [1]). Klemens VII nie zdołał się oprzeć żądaniu potężnego sprzymierzeńca, a niebawem wyszedł rozkaz z kuryi rzymskiej złożenia sądu w tej sprawie. Polecenie to odebrał biskup sabiński, kardynał Piotr Accolti, w wydanym w tym celu dekrecie papieskim, zawierającym zarazem akt oskarżenia przeciw arcybiskupowi.

Ciekawy ten dokument, napisany widocznie pod wpływem dworu wiedeńskiego, nader wymownie charakteryzuje ówczesną uległość papieża dla Karola V, jakoteż całą okropność sytuacyi, w jaką wprowadziły sędziwego prymasa awanturnicze plany jego synowca. Wszystko, w czemkolwiek zawinił Hieronim przeciw kościołowi katolickiemu, lub choćby tylko przeciw dynastyi Habsburskiej, poczytano prymasowi za zbrodnię, dokonaną przezeń wobec religii i chrześciaństwa. W zarzutach swych posuwa się Klemens VII nawet tak daleko, iż za pomoc udzieloną Zapolyi, którego do niedawna przecież sam tak gorąco popierał, nie waha się nazywać Łaskiego zdrajcą kościoła, sprzymierzeńcem heretyków i sułtana tureckiego, a nawet arcydyabłem i Judaszem!

Ale cokolwiekbyśmy o tem powiedzieli, stokroć bardziej przejmuje zgrozą sam akt pomieniony, który tylko w wiernym przekładzie może dać pewne pojęcie o upokorzeniu, jakiego doznał wówczas sędziwy arcybiskup. Dla tego też podajemy poniżej ważniejsze jego ustępy, tłómaczone prawie dosłownie, inne zaś dla związku streszczając pokrótce.

„W świętym kościele katolickim“—czytamy w pomienionem piśmie papieskiem— „są niestety zdrajcy, którzy udzielają swej pomocy nieprzyjaciołom wiary chrześciańskiej, jakoteż innych pobudzają do czynów tak haniebnych, wspierając ich dochodami kościoła w ich przewrotnych zamysłach. Ale ci prześcignęli ich w nikczemności, którzy na wzór Judasza Iskaryoty, podczas gdy kościół zostaje w ucisku, z jego nieprzyjaciółmi w straszliwe wchodzą przymierze i pośredniczą w połączeniu heretyków i schizmatyków z wrogami wiary najświętszej [2]), w celu wydania im na pastwę kościoła katolickiego i zniszczenia winnicy Pańskiej, dostarczając im żołnierzy, broni i sprzętu wojennego na zdobycie owczarni Chrystusowej. Tego wszystkiego dopuścił się ów syn ciemności, a brat zdrajcy Judasza, Jan Łaski, z imienia arcybiskup, ale z czynów arcydyabeł gnieznieński w Królestwie polskiem, wyrzekłszy się wiary, uczciwości i bojaźni Bożej, jakby jaka żmija, łaknąca krwi chrześciańskiej. Kiedy bowiem Królestwo węgierskie najechał sułtan turecki, ów straszny wróg wiary przenajświętszej, z wielkiem dla całego chrześciaństwa niebezpieczeństwem, Łaski zebrawszy znaczne sumy pieniężne z swych dóbr kościelnych, których część zostawił, a inne nawet posprzedawał, zgromadził dość liczne wojska i pod dowództwem synowca swego Hieronima wysłał je na pomoc Zapolyi, oczekującemu tylko armii tureckiej, aby z nią wspólnie wyruszyć do boju przeciw Najjaśniejszemu Królowi czeskiemu i węgierskiemu Ferdynandowi, najgorliwszemu obrońcy wiary Chrystusowej. Pomieniony synowiec arcybiskupa Hieronim, wiekiem wprawdzie młodzieniec, ale przewrotnego umysłu, zdolny do popełniania zbrodni wszelkiego rodzaju i na wzór owego Herostrata, który spalił słynną świątynię Dyany efeskiej, pełen żądzy rozgłosu choćby kosztem zguby całego chrześciaństwa — sprawując rozliczne poselstwa do wielu książąt chrześciańskich, poznał ich tajemnice i zgubne rozterki i umiał je wyzyskać na korzyść Zapolyi, a następnie z jego polecenia zawarł przymierze pomiędzy sułtanem a Wojewodą siedmiogrodzkim [1]) i wszelkich dołożył starań, aby Ferdynand nie uzyskał od Turków rozejmu. Wszystko to stało się w ten sposób, iż całkiem słusznie można powiedzieć, że pomieniony Jan Łaski za pośrednictwem synowca swojego Hieronima był sprawcą owego przymierza Wojewody z Turkami i wtargnięcia ich do Austryi, jakoteż wszystkich klęsk ztąd wynikających. Co więcej, gdy Najj. Król polski edyktem publicznym zabronił swoim poddanym udzielenia jakiejkolwiek pomocy Zapolyi, arcybiskup jakby drugi Kore, lekceważący rozkazy Mojżesza, nakłonił wielu ze szlachty Królestwa polskiego do przyjęcia służby u Wojewody i udziału w walce niewiernych przeciw chrześciaństwu. Ale nie dość na tem: nie nasycony widokiem strasznego pożaru, jaki rozniecił, jakby bazyliszek wszystko zatruwający, utworzył związek z kilku książąt heretyckich [2]) i połączył ich węzłem przymierza z Turkami i Wojewodą, aby zagrożona Rzeczpospolita chrześciańska i z tej strony nie doznała pomocy. Za pośrednictwem tych sprzymierzeńców Zapolyi zebrał wielu Lutrów, żywił ich i przyodziewał w dobrach swej archidyecezyi, a następnie wysłał na pomoc nieprzyjaciołom wiary przenajświętszej. Wreszcie gdy Turcy roznosząc śmierć i pożogę w krajach chrześciańskich, wtargnęli do Austryi i oblęgli Wiedeń, a wśród tej walki zabrakło im lanc i innych przyborów wojennych, pomieniony zdrajca Jan Łaski, udający cnotę pod płaszczem arcybiskupim, lub raczej ukrywający to, co zbyt długo ukryć się nie dało, przygotował w miastach swej archidyecezyi wszelki potrzebny Turkom sprzęt wojenny i posłał go niewiernym [3]),

---

[1]) W Kwietniu r. 1529.

[2]) W jednym z punktów tego układu zobowiązał się Karol V oddać Florencyą w posiadanie Medyceuszów. Rzeczywiście zdobyły ją w roku następnym wojska cesarskie, poczem Alessandro Medici objął w niej rządy jako „książę Florencyi“.

[3]) Tylko w ten sposób możemy sobie wytłómaczyć dokładną znajomość tych wypadków na dworze papieskim, o czem najlepiej świadczy akt oskarżenia wydany przeciw arcybiskupowi. Obok nienawiści do Łaskich kierowała nimi zapewne także chęć przypodobania się dworowi wiedeńskiemu, którego świetność i potęga wówczas tak magiczny posiadały urok.

[1]) Że wytoczenie owego procesu arcybiskupowi było dziełem dworu wiedeńskiego, o tem świadczą następujące listy współczesne: 1) Dantyszka do brata swego Bernarda, z Bononii z 17. Marca 1530 r. Oryginał znajduje się w Arch. XX. Czartoryskich, kopia w Tomicyanach (Kod. Sap. T. VII k. 120a—122b). W polskiem streszczeniu podał list ten także Ambr. Grabowski w „Starożytnościach hist. pols. (t. II. str. 68) wypuścił jednak ustęp dla nas najważniejszy, a mianowicie: „Gattinaria, qui istud monitorium (pozew w tej sprawie przeciw Łaskiemu) ex parte Caesaris procuravit“. 2) W ten sam sposób przedstawia tę rzecz także biskup Tomicki w liście do prymasa z 30. Lipca 1530 r. zapewne na podstawie podobnej relacyi Dantyszka (Acta Tomic. Kod. Sap. t. VIII. k. 98a). — Wreszcie za prawdziwością powyższego twierdzenia oprócz zgodności, w jakiej fakt ten zostaje z ówczesnymi wypadkami europejskimi, przemawia także postępowanie w tej sprawie dworu polskiego, w stosunkach dyplomatycznych z domem rakuskim, o czem bliższą wiadomość podamy poniżej.

[2]) Słowa te odnoszą się do usiłowań Hieronima Łaskiego, który z polecenia Zapolyi starał się pozyskać protestanckich książąt niemieckich, w celu zawarcia z nimi przymierza przeciw domowi rakuskiemu.

[1]) Wojewodą siedmiogrodzkim lub tylko hrabią spiskim nazywali króla Jana jego przeciwnicy, nie uznając prawności jego wyboru.

[2]) t. j. książąt niemieckich, którzy przyjęli wyznanie Lutra.

[3]) W potwarzy tej dochodzi złośliwość nieprzyjaciół prymasa do punktu kulminacyjnego. Nie podobna bowiem przypuścić, żeby broń i przybory wojenne, które przygotowywano

przez co całą Rzeczpospolitą chrześciańską na tak wielkie naraził niebezpieczeństwo, iż kościół katolicki stokroć większą poniósłby klęskę, gdyby Bóg najwyższy nie dopomógł wojskom Króla Ferdynanda do odparcia oblęgających jego stolicę tłumów nieprzyjacielskich. Któż na widok tak okropnej zbrodni zdoła się od łez powstrzymać, tem bardziej, że nie minęło jeszcze straszne niebezpieczeństwo, albowiem wróg wiary przenajświętszej, na nowo zebrawszy swe siły, zagraża nam wykonaniem swoich zamysłów? Sprawcą zaś owej rzezi, pożogi, znieważenia świątyń Pańskich, niedoli jeńców uprowadzonych w niewolę i zaparcia się przez nich wiary Chrystusowej jest ów potępieniec Jan Łaski, niepomny swej przysięgi złożonej Stolicy apostolskiej, który powinien zginąć, żeby już więcej nie popełniał tak haniebnych czynów. Aby więc te straszliwe zbrodnie w należyty sposób zostały pomszczone i kara tego zdrajcy dla innych była pouczającym przykładem, upraszа Prokurator skarbu papieskiego, Wasza Świętobliwość raczy polecić komuś z Najprzewielebniejszych OO. Kardynałów św. kościoła rzymskiego, żeby wezwał przed swój sąd pomienionego Jana arcybiskupa, który ma się stawić w czasie przez Waszą Świętobliwość oznaczonym, osobiście a nie przez zastępcę, bez żadnej apelacyi i pod zagrożeniem wielkiej klątwy jakoteż innych kar kościelnych, utratą pomienionego arcybiskupstwa i wszystkich beneficyów duchownych, będących w jego posiadaniu, wreszcie wiecznem potępieniem i karą pieniężną w kwocie 25.000 czerw. zł. w celu wytłómaczenia się z zarzucanych mu przestępstw, zbrodni i w ogóle wszelkich czynów karygodnych. W razie przeciwnym, gdyby pomieniony Jan Łaski nie stawił się przed sądem w terminie oznaczonym, należy mu udowodnić, że zasłużył na kary powyższe, tak doczesne jak wieczne, wydać odpowiednie postanowienia w sprawie opróżnionych po nim beneficyów i do wykonania ich wezwać władzę świecką". (Dok. nast.)

PROMIENISTY.

NOWELLA

przez

ZOFIĘ R.

(Ciąg dalszy.)

Trzy tygodnie minęło, zbliżał się czas popisów publicznych. Jednego dnia przy rannem śniadaniu, na które Zygmunt wraz z bratem i siostrami przychodził do rodziców, zapytał go brat starszy:

— Czy widziałeś się z ciotką Kamillą i z Leonią?

Zygmunt w pierwszej chwili nie zrozumiał go.

— Jakto, czy widziałem się? widziałem się z niemi na wieczorku u pani M.

— Wszakże nie o tem mówię — to stare dzieje; przyjechały przedwczoraj tu do Krzemieńca, dnia wczorajszego spotkałem je w mieście, lecz dotąd zapomniałem ci o tem powiedzieć.

Rodzina Zygmunta nie zdawała sobie jasno sprawy ze stosunku jego do Leoni, przywiązanie jego przypisywano więcej nawyknieniu i przywiązaniu braterskiemu, niż gorącemu a głębokiemu uczuciu, jakie nurtowało młodą duszę, tego jak się zdawało, li tylko naukami zajętego młodzieńca. I teraz brat mówiąc mu o paniach przybyłych z Zarzecza myślał zrobić mu tem wielką przyjemność.

Zygmunt usłyszawszy przecież tę wiadomość zadrżał i lekko pobladł. Jakto ona, moja Lili, jest już dwa dni w Krzemieńcu i mnie znać nie dała o tem?!

Dotąd pisała zawsze naprzód, że przybywają, on czekał przy drzwiach pomieszkania lub wychodził naprzeciw do rogatek, a jeżeli wyjazd wypadł nie spodziewanie, natychmiast przysyłała służącego, wiernego starego Jana, który wyszukał „panicza" choćby ten nie wiem gdzie był, i powiedział mu, że „panienka" przyjechała.

Zygmunt zmięszał się też i pobladł, lecz nie dał poznać wzruszenia po sobie, odpowiedział spokojnie, że nie widział jeszcze ciotki i kończył śniadanie, nie zdradzając gorączkowej niecierpliwości. Może nie chciała robić mi roztargnienia i przerwy w naukach? przemknęło mu przez zburzone myśli, lecz serce pełne nieokreślonego niepokoju, szarpnęło się wątpliwością...

Wyszedłszy na ulicę, biegł do pomieszkania ciotki, pomimo, że to była godzina szkolna, lecz musiał ją zobaczyć, musiał uspokoić niepokój, który ściskał mu serce i bił gorącą falą krwi do głowy.

Wbiegł do sieni, na schody, stanął przy dzwonku, zadzwonił w umówiony sposób. Spodziewał się, że Lili jak zawsze wybiegnie do niego do przedpokoju, powita serdecznie, powita po staremu, na zrobioną wymówkę, położy różową dłoń na ustach skarżącego się, i skarga zamieni się w szept miłośny, i powróci szczęście...

Szarpnął dzwonek raz... i drugi... cicho, nie słychać kroków, za trzeciem szarpnięcem, drzwi się otwierają i stary Jan usuwa się na bok ze spuszczoną głową i spuszczonemi oczyma, by zrobić mu miejsce do wolnego przejścia. Przedpokój przebiegł i położył rękę na klamce od drzwi salonu, a serce tak mu gwałtownie biło, że odbierało siłę do pociśnienia jej. W końcu otworzył, i stanął w progu, lecz salon był pusty... Gdzie ona? Gdzie moja Lili??! Już teraz miał pewne przeczucie nieszczęścia, lecz niestety, nie formy w jakiej ono miało spaść na niego!... Chciał biedz, wyrwać ją tyrańskiej przemocy, która ją wstrzymywała, nie puszczała doń... Gdy wtem uchyliły się drzwi przeciwległego gabinetu i Leonia stanęła przed nim w blasku brylantów i pereł...

Dyadem niemal królewskiego przepychu tysiącem iskier migotał nad jej czołem, drogocenne perły okręcały alabastrowej białości szyję i na pierś szybko wznoszącą się i opadającą, spływały zapinką z prześlicznego, rzadkiej wielkości, solitera, ręce obnażone do łokcia objęte były w misternej roboty branzolety. Może ją gniotły, może ciężyły jej świecidła te ceny nie mające, bo była bardzo blada, a tylko oczy pałały gorączkowym blaskiem ćmiąc prawie brylanty. Zrobiła parę kroków, by zbliżyć się do Zygmunta, lecz silniejsza jakaś siła, niż moc przywyknienia, wstrzymała ją na środku salonu.

Zygmunt skamieniał na ten widok i stał też jak skamieniały. Ona poczęła się śmiać głośno, śmiechem, w którym brzmiała dziwnie ostra — fałszywa nuta.

— Mundziu! wiesz... ja idę za mąż, patrz, te brylanty, te perły, to dar mego narzeczonego, patrz... patrz... jaka ja szczęśliwa... to wszystko moje... A! a gdybyś ty wiedział jak on mnie kocha! zaraz po ślubie pojedziemy do Paryża... Prawda, że ty się cieszysz mojem szczęściem... a wiesz, że on jest najpierwszym do awansu na jenerała, do roku zostanie nim... i ja będę panią jenerałową... mama powiada, że on bardzo dobry, ma ogromne dobra nad Donem. Patrz, co to za perły... co za brylanty... ten jeden soliter to fortuna szlachecka! Mundziu! Mundziu, wszak ty się cieszysz, tyś taki dobry, tak mnie kochasz...

On stał jak głaz! Tchu nie miał, głosu nie miał. Lecz słowa: „Ty mnie kochasz" rozpalonym młotem uderzyły w skamieniałe już serce, i wyrwały zeń jeden tylko wyraz, wyraz, który tyle razy wychodził z ust jego wymawiany pieszczonym głosem, teraz wyleciał jak głos grozy, rozpaczy, głos strasznego rozdarcia, jak głos pękającego serca!

— Lili!!! — zawołał i oburącz chwycił się za głowę!

Taka to była straszna moc, która mu wypchnęła to imię z piersi, że Leonia zachwiała się pod nią, ręce opuściła i śmiech jej zamarł na ustach...

Lecz Zygmunt nie widział już, że na wykrzyk ten, matka wybiegła z drugiego pokoju, że przyjęła w swoje ramiona niemal upadającą córkę, że za chwilę pułkownik klęczał u nóg jej całując drobne stopki.

Nie widział już tego, wybiegł za drzwi i biegł ze schodów, a raczej zdało mu się, że schody z pod nóg mu uciekały, biegł, leciał niby w przepaść jakąś, z uczuciem jakiego doznajemy we śnie gniotącym nas straszną zmorą. Jak się dostał na ulicę, jak skierował w stronę północno-zachodnią, nigdy nie wiedział, biegł już nieprzytomny, własną ręką rozdzierał i krwawił piersi swoją, ból jaki to sprawiało przynosił mu snać rodzaj ulgi, lecz i z tego nie umiał sobie nigdy zdać sprawy. Był bezprzytomny, działał instynktownie.

Gdy przyszedł do siebie, gdy, zdawało mu się, że z głębokiego snu oczy otworzył, spostrzegł pochyloną nad sobą jakąś nieznaną młodą i jak widać miłosierną kobietę, skrapiała go i nacierała mu skronie wodą zaczerpniętą w pobliskim strumyku. Mężczyzna lat średnich stał oparty o drzewo, pod którem Zygmunt leżał, i wpatrywał się weń z troskliwością. Byli to nieznajomi ludzie, przejeżdżający przypadkiem drogą prowadzącą z Zarzecza do Krzemieńca, na którą Zygmunt niesiony boleścią padł bez zmysłów pod drzewem przydrożnem. W pierwszej chwili ujrzawszy człowieka leżącego jak bez życia, ze skrwawioną piersią, myśleli, że jest to ofiara gwałtu, że niewinnie zamordowanego mają przed sobą, lecz przekonawszy się, że to tylko zemdlenie, poczęli go trzeźwić i przyprowadzili do przytomności. Zygmunt w pierwszej chwili nie wiedział co się z nim dzieje, zdawało mu się, że budzi się ze strasznego snu, lecz gdy powstał na nogi i ujrzał się na drodze do Zarzecza; przypomniał sobie straszną rzeczywistość. Obcym ludziom nie chciał przecież dać poznać swego stanu rzeczywistego, począł tłumaczyć się i dziękować za opiekę. Kobieta, sercem kobiecem przeczuła, że wszelkie tłumaczenie ciężkiem mu będzie, odezwała się więc łagodnie.

— Nie pytamy o przyczynę cierpienia, jednak pana tak oddalonego od miasta, samego jednego wśród pola zostawić nie możemy, mąż mój pomoże panu wsiąść do powozu i odwieziemy go do Krzemieńca. Po mundurze poznała,

---

w dobrach arcybiskupstwa gnieznieńskiego, miały być przeznaczone dla armii tureckiej, zbyt oddalonej od Wielkopolski i zwykle bardzo dobrze zaopatrzonej w wszelkie potrzeby wojenne.

że jest uczniem Krzemienieckiego liceum. On już teraz przyszedł do zupełnej świadomości siebie, pomyślał chwilę, i przyjął miejsce w powozie. Przez drogę nie zadano mu żadnego pytania, nie pytano ani kim jest, ani co go do tego stanu rozpaczy przyprowadziło. Dopiero w mieście chciano wiedzieć dokąd go odwieść. Prosił by mógł wysiąść w ulicy, nic nie mówiąc przychylono się do prośby. Gdy powóz ruszył, a Zygmunt znikł im z oczu, mężczyzna rzekł:

— Jakaś to romansowa przygoda, szaleniec!

Kobieta otarła łzę z oka... — i szepnęła — biedny!

Gey przyszedł do rodziców, był już późny wieczór, powiedział pytającym, że jadł obiad u jednego z kolegów.

Siadł z rodzeństwem do wieczerzy, i słuchał jak komentowano zamążpójście Leoni, jak się na przemian gorszono i opowiadano o bogactwach narzeczonego, jakie stawiano wnioski przyszłego jej pożycia z mężem, jak ją nazywaną raz słabą, raz lekkomyślną, jak się oburzano na nią i na matkę! Wszystko to wysłuchał i nie zdradził się. Przecież gdy się rozchodzili na spoczynek, najmłodsza siostrzyczka przytrzymała starszego brata i szepnęła mu do ucha:

— Uważajcie i przy Mundziu nie mówcie tak wiele o zaręczynach i przyszłem weselu Lili, on ją tak bardzo lubił, przykro mu, że idzie za Moskala. Widziałam, że gdyście mówili, on bladł i mienił się, nic prawie nie jadł, i jakoś dziwnie wygląda. Uważałeś?

— Nie, nie uważałem — wydało ci się tak.

Zygmunt noc całą przeleżał w gorączce, z rozpaloną głową, i gdy nazajutrz stroskana rodzina wezwała rady lekarza, ten orzekł, że jestto „affekcya kataralna“... z przeziębienia. I powzięto o nim wyobrażenie, jako o doskonałym dyagnostyku, gdyż chory jak z affekcyi kataralnej trzeciego dnia powstał z gorączki tak silnej, że patrzącym zdawało się początkiem ciężkiej choroby i chociaż chwilami oczy mu pałały a dreszcz ciało przebiegał i wstrząsał nim całym, wszedł w zwykły tryb życia, kończył przygotowania do popisów publicznych. We czternaście dni, ze złotym medalem odjechał na uniwersytet do Wilna. Lili po ślubie i podróży do Paryża już jako jenerałowa wyjechała z mężem na Kaukaz.

Zygmunt przetrawiwszy mężnie boleść pierwszą, i chwile strasznej rozpaczy, powiedział sobie... umarła... tak ona umarła... lecz Polska żyje, ta świetlanna kochanka moja, dla niej życie, dla niej ostatnią kroplę krwi poświęcę, na jej usługi oddam się cały... ona mnie nie zdradzi, ta moja bohaterska, ta święta, nieśmiertelna!!...

Zawsze gorące uczucie dla ojczyzny, przez ból jaki przeszedł, przez złamanie serca, spotęgowało się i wyrobiło z młodzieńca, męża hartownego jak stal, i jak stal nieskazitelnego w jednej, jedynej już miłości jaką mógł nosić w sercu, w miłości dla Polski! Przybywszy do Wilna, w krótkim czasie zjednał sobie liczne grono przyjaciół. Wprowadzonym został w towarzystwo „Promienistych“. Wśród grona młodzieży ujrzał Zygmunt postać piękną o szlachetnych rysach, tchnącą rozumem i dobrocią. Dwa te najpiękniejsze przymioty, stawiające człowieka na wysokim szczeblu moralnej wartości, rozum i dobroć świeciły z ciemnych oczu, a czoło wysokie, lekko w tył podane świadczyło o cywilnej odwadze i miłości ludzkiej, nos orli dodawał pociągającej tej twarzy wyrazu stanowczości. Był to prezes Towarzystwa, Tomasz Zan.

Zygmunt uczuł się pociągniony doń nieprzepartą siłą sympatyi, i wkrótce związali się węzłem braterskiej przyjaźni. Byli też odtąd pracownikami na jednem polu. Nie darmo nosili szczytną nazwę „Promienistych“, jasne promienie, bijące od tej garstki młodzieży wileńskiej, rozświecały na okół i przeciskały się do najdalszych zakątków Wołynia i Litwy *).

Zygmunt wcieliwszy się w Towarzystwo Promienistych, stał się duszą jego. Na zebraniach, po poważniejszych naradach nad celami i sposobami działania Towarzystwa, czytywano rozprawy i rozprawki literackie i historyczne, poezye i ulotne wierszyki, spiewano pieśni patryotyczne, deklamowano. Na każde zebranie Zygmunt przynosił swoje prace prozą i wierszem, odczytywał wiele cennych prac historycznych, a zachęcany przez Zana postępywał gorliwie w tym kierunku. Najgorętsza młodzież, garnęła się do tego ogniska miłości i pracy, stali w tym bratniem kole koło Zana, Czeczot, Jeżowski, Suzin, a nieobecny już Mickiewicz łączył się z nimi duchem, którego wyrazem była „Oda do Młodości“! O jakąż dumą, jaką wiarą w przyszłość uderzały im serca, jakim zapałem świeciły oczy, z jakiem uczuciem łączności i jedności ściskały się ręce, gdy Odę do młodości wygłaszano chórem! wspólnie, jednym, wielkim, potężnym głosem!!

Jasne światło bijące z młodzieńczego czoła Promienistych, wiekuistemu wrogowi naszemu wydało się błyskiem poprzedzającym grom! Ciepło ożywcze serc młodzieńczych, wybuchem wulkanu!

I Promieniści śledzeni, tropieni, podejrzywani, ścisnęli się silniej, obwarowali skrycie i przysięgą zamknęli wejście do Towarzystwa, nazwę Promienistych zmienili, na nazwę „Filaretów“ lecz w pracy nie ustawali, w wierze i nadziei potężnieli, z miłością sprawie świętej nieść życie postanowili! (Dok. n.)

*) Głównem zadaniem promienistych, było rozszerzanie nauki, czuwanie nad utrzymaniem i czystością języka polskiego, rozpowszechnianie klasycznych i historycznych dzieł polskich, podtrzymywanie i rozgrzewanie ducha polskiego. Przyp. aut.

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

(*Dokończenie*).

Wszystkie te trzy stany polegają na częściowem czuwaniu, które może mniej lub więcej nad snem przeważać. Lecz podczas gdy stan hipnotyczny i magnetyczny są przejściem od czuwania do snu częściowego — lunatyzm przeciwnie jest przejściem od snu głębokiego do połowicznej czujności. Przytem pierwsze przejście uskutecznia się pod wpływem zewnętrznych wrażeń usypiających—drugie pod wpływem wewnętrznych rozbudzających.

Hipnotyzm i magnetyzm są więc w zasadzie jednem i tem samem, z tą tylko różnicą uboczną że w pierwszem wrażenia usypiające pochodzą od przedmiotu martwego w drugiem od istoty żywej. Monotonne patrzenie na jeden punkt nuży stopniowo, zachowując jednak pobudliwość nerwów, która może się nawet podnieść miejscowo, kosztem większego odrętwienia innych punktów ciała. W magnetyzowaniu zaś osoba „magnetyzera“ występuje czynnie. Każe on patrzyć nieruchomo w swoje oczy, które już nie są przedmiotem martwym i mogą wpływać na pacyenta swoim wyrazem. A ponieważ magnetyzowaniu ulegają tylko osoby wrażliwe, i zwykle wtedy tylko gdy czują nad sobą moralną przewagę magnetyzera, nic więc dziwnego, że do wywołania spodziewanego skutku przyczynia się w znacznym stopniu działanie na fantazyą pacyenta. Nadto magnetyzer wykonywa rękami ruchy, monotonnie powtarzając się, dotyka chorego, przemawia doń, a na wszystkie te wrażenia skupiona jest bezustannie uwaga pacyenta. Podczas więc gdy wszelkich innych wrażeń brak, i gdy dla nich chory staje się stopniowo martwym — wrażenia od magnetyzera pochodzące wyrabiają sobie stałą drogę do myśli usypianego, tak że w końcu, przy wzmagającym się śnie, tylko ta jedna droga łącząca go ze światem pozostaje. Przypomnij sobie łaskawy czytelniku fakt z zasypianiem podczas wytężonego słuchania książki, przytoczony przezemnie na początku niniejszej rozprawki, a będziesz mógł przez zestawienie jednego faktu z drugim, objaśnić je sobie wzajemnie.

Lunatyk jest zrazu człowiekiem śpiącym głęboko. Stopniowo jednak powstające marzenie senne rośnie w sile i budzi go, ale budzi tylko częściowo, mianowicie tylko odnośnie do wrażeń i czynów mających związek z jego marzeniem. To marzenie, będące owocem częściowej działalności mózgu rozbudza organa automatyczne: móżdżek, rdzeń przedłużony i mlecz pacierzowy, pozwalając mu wykonywać zręcznie ruchy powzięte w sennem marzeniu. Ponieważ zaś wszelkie obce wrażenia dla niego nie istnieją, ponieważ przechodząc po wąskiej desce która jest dlań drogą, nie widzi jednocześnie obok leżącej przepaści, nieczuje więc też żadnej obawy i może wykonywać przejścia szalone, które człowiekowi przytomnemu odebrałyby wszelką odwagę. Ta względna samodzielność, samodzielność że tak powiem *zwężona*, wyróżnia go od magnetyzowanego, który posiada tylko uszczuploną w swym zakresie, czyli podobnie *zwężoną* i *skupioną* wrażliwość, bez odpowiedniej samodzielności.

Od częściowego rozbudzenia, jakie lunatyzm przedstawia, możemy już przejść do rozbudzenia zupełnego po śnie normalnym.

Podobnie jak czuwanie w sen, tak i sen w czuwanie przechodzi zwykle stopniowo. Sen głęboki, sen bez marzeń, trwając dłużej lub króciej, stosownie do stopnia znużenia organizmu, przechodzi zwolna w sen z marzeniami, który jest już *rozbudzaniem się*.

Oczywiście też same przyczyny które sen wywołały, odwrotnie wzięte, wywołają przebudzenie. A więc:

1) Jeżeli sen nastąpił w skutek krwi upływu, czuwanie powróci, skoro tylko krwi przez odżywienie przybędzie.

2) Jeżeli zaśnięcie wywołane było przez samo zmniejszenie dopływu jej do mózgu tylko, to obudzenie może przyjść do skutku przez zwiększenie dopływu, wywołane jakąkolwiekbądź przyczyną. Naprzykład śpiący, poruszywszy się we śnie, zsuwa głowę z poduszki i powoduje tem samem większy napływ do mózgu. Napływ taki działa zrazu jako motor marzenia sennego,

które śpiącemu przedstawia że spada gdzieś z wysokości, że go napadają, duszą i t. p. a później, przy większem pochyleniu głowy, może i rozbudzenie zupełne spowodować.

Tak samo w śnie poobiednim, który powstał w skutek odciągnięcia krwi od mózgu do żołądka i kiszek, wraz z chwilą, w której wytężona praca trawienia ma się ku końcowi i kiedy krew przestaje być przez nią absorbowaną, czuwanie powraca.

Tak samo wreszcie rzecz się ma we śnie wywołanym przez męczącą drogę pieszo odbytą i t. p.

3) Jeżeli sen następuje w skutek braku tlenu we krwi, to rozbudzenie może nastąpić przez dodanie jej odpowiedniej ilości tlenu. Tak np. w podróżach balonowych na wysokości przechodzącej 6000 metrów powstaje zawsze omdlenie senne w skutek rozrzedzonego w tych sferach powietrza. Podróżnicy zapobiegając temu biorą z sobą bańki wypełnione tlenem; gdy siły zaczynają uchodzić, każde wciągnięcie w piersi gazu z rurki zbiornika, przywraca przytomność i ożywia siły, dopóki rozrzedzenie powietrza w sferach coraz wyższych zupełnie ich nie stłumi, jak to niestety miało miejsce z dwoma zuchwałymi podróżnikami Crocé-Spinellim i Sivelem w roku 1875.

4) Jeżeli zdolność asymilacyjna tkanki nerwowej ginąc, sen wywołuje, wówczas możemy ją jeszcze sztucznie rozbudzić i wzmocnić chwilowo, działaniem silnych bodźców. Żołnierz najbardziej znużony zrywa się z pierwszego snu, gdy na alarm uderzono. Normalnie, takie wzmocnienie zdolności asymilacyjnej następuje samo przez się po dłuższym śnie pokrzepiającym. Wówczas tkanki organiczne mogą już nietylko wypełnić braki powstałe w skutek zużycia, ale nadto przyswajając więcej, niż w spokoju zużyć mogą, nagromadzają znaczną ilość siły, która sama występuje budząco. Ztąd ta rzeźwość i skłonność do ruchów, jaką czujemy po dobrym, zdrowym śnie, wyciągając się i zrywając z łóżka. Jest to taż sama siła, która nagromadza się zawsze wtedy, gdy odżywianie przeważa nad zużyciem, jak to ma miejsce u dzieci i młodych zwierząt. Bain nazywa ją trafnie *mimowolną energią*, ponieważ sama przez się zmusza do ruchów i pracy jakiegobądź rodzaju. Ta więc siła, będąca wyrazem pełni działania asymilacyjnej zdolności tkanek, może samą swoją obecnością rozbudzić.

5) Jeżeli sen może nastąpić w skutek nadmiaru produktów zmęczenia w nerwach i w mięśniach, to tem samem wszelkie usunięcie tego nadmiaru może wywołać obudzenie. Usunięcie takie przy naturalnym biegu rzeczy następuje zwolna. Krew je rozpuszcza, pochłania i unosi. Przyspieszenie więc obiegu krwi lub dodanie jej nadmiaru tlenu może i tę jej pracę przyspieszyć, ale tylko wtedy, gdy się odbywa bez nowego zmęczenia tkanek. Wprawdzie i w przeciwnym razie może nastąpić obudzenie, ale za to później sen stanie się jeszcze głębszym lub dłuższym.

Nareszcie:

6) Jeżeli sen następuje głównie w skutek braku bodźców (zasypianie z nudów), to zjawienie się ich wywoła skutek wprost przeciwny. Te zaś bodźce mogą być dwojakiej natury: *zewnętrzne* i *wewnętrzne*. Pierwsze zjawiają się pod postacią wstrząśnienia, huku, światła lub innych wrażeń zmysłowych. Nietylko zaś silne wrażenia mogą działać w ten sposób; wystarcza do tego żeby były względnie niespodziewane. Ktoś co przywykł spać przy spuszczonych roletach obudzi się wcześniej niż zwykle, jeżeli mu okien nie zasłonić. Podobnież jeżeli przywykliśmy budzić się jednocześnie z gamami sąsiadki, obudzimy się wcześniej, gdy ona wcześniej grać zacznie. Nawet bicie zegaru, może obudzić tych, którzy przywykli stosować się do niego; przychodzi to zaś tem łatwiej, ze przy regularnem życiu organizm nabiera nałogów, nawet co do chwili przebudzenia: kto przywykł stale wstawać o 7ej, obudzi się z uderzeniem tej godziny, nawet w tym razie, jeśli się wyjątkowo późno spać położył.

Wrażenia *wewnętrzne* należą zwykle do kategoryi boleśnych. Ból zęba, ból rany, mogą nas zbudzić wcześniej niż zwykle i nieraz czynią to aż zanadto często. Idealniejszej zaś natury będą bodźce wewnętrzne wynikające z marzeń sennych, takich, w których uczucie bierze udział. Budzimy się np. pod grozą snu o rozbójnikach, o spadaniu w przepaść, o duszeniu przez wilkołaka i t. p.

Nareszcie ten bodziec wewnętrzny może mieć jeszcze dalsze źródło—może bowiem wynikać z postanowień za dnia powziętych. Tu należy ciekawe zjawisko: *budzenia się na oznaczoną godzinę*. Wygląda ono na pierwszy rzut oka bardzo tajemniczo. Jakim sposobem myśl może działać wtedy, gdy jej nie ma i zmusić ciało, mimo zaspania do dźwignienia się na nogi?— W rzeczywistości jednak zjawisko sprowadza się do znanej nam już, budzącej siły uczuć. Tylko wtedy obudzimy się na oznaczoną godzinę, gdy nam bardzo na tem zależy, gdy np. spóźnienie się na kolej byłoby dla nas nierównie przykrzejszem niż pokonanie senności. Co zaś do tego jakim sposobem możemy śpiąc utrafić godzinę na przebudzenie wyznaczoną, to w tym względzie wypada zauważyć, że

1) Utrafienie godziny rzadko bywa dokładne, a mianowicie budzimy się zwykle wcześniej niż potrzeba.

2) Sen w takich razach już przez całą noc bywa niekompletny, a raczej niestały, gorączkowy; budzimy się zwykle kilka razy i zorjentowawszy się, że jest jeszcze zawcześnie, zasypiamy na nowo.

3) Że siłę budzącą w pierwszem przebudzeniu stanowi marzenie senne na uczuciach oparte. Marząc plątamy w śnie przedewszystkiem wybitniejsze zdarzenia dnia minionego, a do takich i najbliższych należy przedewszystkiem stanowcze postanowienie wczesnego wstania. Skoro zaś tylko to przypomnienie wplącze się w ogniwa marzeń, współcześnie z niem, na zasadzie asocyacyi budzi się *obawa* spóźnienia, która cały organizm, mocą ekstenzywnej siły uczuć rozbudza.

4) Że w tych razach kiedy obudzenie istotnie trafia na godzinę żądaną, (pominąwszy przypadkowy zbieg rzeczy) możemy podejrzywać pewną *miarę czasu*, dokonywaną w nastroju przez pół jeszcze sennym, na podstawie poczucia stanu ciała (stopnia zaspania, stopnia w poczuciu głodu), a także na podstawie wrażeń zewnętrznych machinalnie wpływających (stanu światła, ciepła, gwaru i t. p. okoliczności). Jeżeli bowiem wszystkie zdolności nasze mniej lub więcej dokładnie przenoszą się ze sfery czuwania w dziedzinę snu, to dla czegożby tego nie miało czynić i to uzdolnienie, które nam podczas dziennych zajęć pozwala mniej lub więcej dokładnie odczuć godzinę dnia? Zdolność ta wyjątkowo przez siłę uczuć do czuwania zmuszona, może się odezwać i we śnie przeczuciem zbliżającej się godziny.

Siła budząca, jaką posiadają wrażenia nowe, wyjątkowe, niespodziewane, objawia się także w sposobach budzenia osoby magnetyzowanej. Zwykle w takich razach używa się dmuchania w czoło lub sławnego rozkazu: „obudź się!" W obu razach, są to wrażenia nowe, dziwaczne, niespodziewane, zwłaszcza w obec poprzednich: dmuchanie w oczy jest przeciwieństwem łagodnych pocierań, rozkaz zaś ustny obudzenia się jest oryginalnym z tego względu, że następuje po rozmowie. Jego zaś siła budząca polega nadto i na tem, że magnetyzowany, w tym swoim stanie jest całkiem od magnetyzera i tylko od niego zależny. Po każdym więc rozkazie następuje odruchowo usiłowanie spełnienia go, uśpiony jest wstrząśnięty poleceniem i budzi się.

Z tego com wyżej powiedział, wyliczając pojedyńczo warunki zasypiania i budzenia się, nie należy bynajmniej wnosić, że taż sama przyczyna, która głównie sen wywołała, musi się zjawić w znaczeniu odwrotnem, ażeby wywołać przebudzenie. Najprzód bowiem jeżeli te warunki rozdzielamy w teoryi, to nie idzie za tem ażeby one były odosobnione w rzeczywistości. Owszem, zazwyczaj nie jeden z nich, ale wszystkie razem współzawodniczą w wywołaniu tak snu jak i czuwania. Jeden tylko może występować przeważnie lub przeważnie zwracać na siebie uwagę. W gruncie rzeczy zależą one tak ściśle od siebie, że są tylko właściwie różnemi stronami jednej zbiorowej przyczyny. Tak np. jeżeli obudzenie przez wstrząśnienie odróżniamy od obudzenia przez napływ krwi do głowy, a to ostatnie od obudzenia przez sen nastraszający i td., to jednak we wszystkich tych wypadkach ma miejsce pewne powiększenie napływu krwi do mózgu i pewne rozbudzenie zdolności asymilacyjnej i powiększony napływ tlenu wraz z szybszem oddychaniem.

Wogóle więc należy rzecz pojmować w ten sposób, że przyczyną zasypiania lub budzenia się jest ogół warunków, które w różnym stopniu, współcześnie lub następnie zjawisko to wywołują. Widzieliśmy jakimi są te warunki — obserwacya zaś każdorazowa wskaże o ile jeden z nich występuje jako pierwszy warunek główny i jaką rolę współczynną odgrywają przy nim inne.

Co się zaś tyczy cech przebudzenia, to łatwo je czytelnik dopełni w myśli, znając już te, które charakteryzują zasypianie. Są one częścią zupełnie takież same jak te ostatnie, częścią wprost im przeciwne. Rzecz to naturalna. I zasypianie i przebudzanie się są stanami przejściowemi i o tyle są indentyczne; ale w jednem odbywamy tę samę drogę w kierunku odwrotnym względem drugiego, i o tyle są sprzeczne. Marzenie senne tak samo pośredniczy w pierwszym razie jak i w drugim, co trwa tem dłużej im mniej warunków zjawia się od razu takich, któreby mogły zdecydować przejście. Zmysły budzą się zwykle najprzód te, które najpóźniej zasnęły, a więc dotyk przed słuchem, słuch przed powonieniem, powonienie przed smakiem a wzrok na końcu; ale i pod tym względem istnieją różnice już to indywidualne już okolicznościowe.

Czucie wewnętrzne przedstawia charakter równie mięszany jak przy zasypianiu, lecz z pewną różnicą. Jak tam łączyło się przyjemne czucie omdlewania, spokoju, odpoczynku z przykrem czuciem bezwładu i jego nacisku, tak tutaj przyjemne czucie wypoczynku, odżywienia, spokoju, łączy się z przykrem czuciem rozproszenia snów jeśli były miłe, z wrażeniem chłodu zewnętrznego, z przeczuciem niekoniecznie miłych zajęć i t. p.

W ogóle jednak w pierwszych chwilach przebudzania się, podobnie jak i w drugiem stadyum zasypiania czucia przyjemne przeważają nad przykremi; są to chwile, w których świadomie jesteśmy najdalej od rzeczywistości, w których zmieniamy ją gdy jest złą, upiększamy jeszcze gdy jest dobra. Dlatego to tak wiele osób lubuje się w tym stanie i przeciąga go sztucznie, nie bacząc na późniejszy, tem większy kontrast wrażeń. Przedłużanie chwili przebudzenia jest jednym z najpospolitszych powodów zniewieściałości. Dziecko przywykłe do wylegiwania się w łóżku, staje się kapryśnem, lękliwem i ospałem; dziewczęta, szczególnie wrażliwe, winny być więcej jeszcze od tego strzeżone, ponieważ nałóg taki z przyczyny ich mniejszej ruchliwości łatwiej się zakorzenia, zgubny wpływ na uczuciowość wywierając. Mielibyśmy znacznie mniej niepowołanych poetek, gdyby im nie pozwalano długo sypiać, i znacznie mniej awanturnic, gdyby w łóżku romansów nie czytywały. Marzenie jest rzeczą bardzo pożyteczną gdy ożywia ciało zdrowe, gdy urokiem ideału unosi i prowadzi pracę ducha, ale jest trucizną gdy samo zastępuje pracę, gdy panuje, zamiast podniecać tylko. To też niech sobie co chcą mówią zwolennicy marzycielstwa, dla których:

Tyle życia, ile w pieśni,
Tyle szczęścia co człek prześni!

My sobie weźmy inne godło. Dla nas niech z po za ciepłych dotknięć puchu uśmiecha się chłodna, ale jasna jutrzenka pracy, która z marzeń bierze to tylko, co życie blaskiem i harmonią napełnia i dla której tyle życia, ile w *czynie.*

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

(*Dokończenie*).

Sztuki piękne na wystawie paryzkiej.

II.

Parę mniejszych płócien tegoż mistrza, przedstawiające ulubione jego wschodnie tematy — jak łaźnia turecka i kąpiące się w niej nagie kobiety lub tańczące baszybożuki etc. — są także pieścidełkami niepospolitej wartości. Ale Gérôme, jeżeli nie wystąpił w całym swym blasku na wystawie jako malarz, to widocznie dla tego, że od pewnego czasu oddał się namiętnie rzeźbie i wyznać należy— z powodzeniem. W francuskiej galeryi rzeźb znajdują się dwie jego grupy, a z tych jedna, *Gladiatorowie* jest reprodukcyą słynnego jego obrazu, noszącego ten sam tytuł. Obraz przedstawiał cyrk, pełen widzów; na środku zaś areny jeden z walczących gladiatorów, powaliwszy przeciwnika i nastąpiwszy kolanem mu na piersi, zwraca się do widzów po sygnał, czy ma go przebić mieczem. A widzowie, zwłaszcza zaś kobiety, dają mu wielkim palcem u ręki znak aby go zabił. Rzeźba zaś przedstawia tylko tę grupę gladiatorów, ale jest tak potężnie modelowana, z taką siłą i energią, że niktby nie przypuścił, iż to utwór nowicyusza na polu plastyki stereometrycznej.

Meissonier, to mistrz techniki, jakiego sztuka malarska dotąd nie znała — powiadają Francuzi, i co szczególna, że w tej mierze mało opozycyi znajdują. Nawet Niemcy zgadzają się na to, zarzucają mu wszakże brak treści, a na który to zarzut i my się chętnie piszemy. Jednakże mimo to sytuacyjne jego obrazki, w których charakterystycznem jest to, że dzielność wykonania ma się zawsze w odwrotnym stosunku do rozmiarów, mają tyle w sobie prawdy i opracowane są z taką żelazną sumiennością, że naprawdę do rzędu arcydzieł *sui generis* zaliczone być muszą. Wszelako nie do takich, żeby za nie aż po 300 tysięcy franków płacić wypadało. A jednak Meissonier takie drobne sumki za swe obrazy pobiera. Prawda, że od miłośników koni, które on cudownie maluje, w innym rodzaju niż Kosak, równie jednak doskonale,—ale nie lepiej. Konie Kossaka bodaj nawet czy nie więcej myślą i czują niż konie Meissoniera, za to te ostatnie mają tę wyższość nad pierwszemi, że na całej swej skórze nie mają ani jednego włoska, nad którymby Meissonier godzinami nie myślał. Oprócz koni, stara gwardja francuska jest także ulubionym przedmiotem jego myślenia. Wszelako myślenie nad gwardją przynosi mu mniej dochodu niż nad końmi. Jego *portrait d'un sergent*, obrazek wielkości arkusza papieru i istotnie znakomicie opracowany, sprzedany został przed samą wystawą za 100 tysięcy franków, — o 20 tysięcy więcej niż Grunwald Matejki! Co znaczy być w modzie!

Pięciu tedy pierwszorzędnych malarzy posiada Francya. W odpowiednim stosunku drugorzędnych ma już legion, a trzeciorzędnych całą armją. Pięć tysięcy ludzi żyjących z pędzla, to naprawdę nie żarty! Jednakże, jak się okazuje z tej statystyki, we Francji na 1000 malarzy zaledwie jeden dorasta szczytu, kilku zadawalnia się tak zwanym *succès d'éstime*, a reszta tonie w falach zapomnienia. U nas zaprawdę stosunek jest lepszy.

Do drugorzędnych gwiazd teraźniejszej szkoły francuskiej zaliczają pospolicie następujących malarzy: Robert-Fleury, Le Roux, Henner, G. Doré, Breton, Glaize (syn), z nieco młodszych Lafebvre, Laurens, Carolus Duran, a zatem malarzy, których płótna odznaczyły się już były na wystawie wiedeńskiej; i wreszcie z najmłodszych B. Constant, najzdolniejszy uczeń Cabanela, i G. Becker najzdolniejszy uczeń Gérôme'a. Ci dwaj ostatni po raz pierwszy wystąpili i odrazu zyskali poklask ogólny, wywołali nawet pewną wrzawę. Jednakże dobrze się rozpatrzywszy w rodzaju tej wrzawy, przyjdzie się do przekonania, że nietyle wznieciły ją malarskie przymioty ich obrazów, ile raczej przerażający ich temat. Są to płótna obliczone przedewszystkiem na to, aby działały na *nerwy* i to na nerwy grube, na takie, które mogą znieść sporą dozę okropności. Dziwna rzecz, zkąd się wzięła w najmłodszej generacyi szkoły francuskiej ta wyraźna dążność wyszukiwania tematów okropnych, przerażających, pełnych krwi, trupów, kowulsyj śmiertelnych? Dawniej wyszukiwano pierwiastek wstrętu i oburzenia w obrazach o tyle tylko, o ile było to potrzebnem do wywołania jakiejś wyższej myśli; nigdy jednak na tym pierwiastku nie ograniczano tematu płótna, nigdy nie tworzono kompozycyi po to tylko, aby w widzu wywołać oburzenie i wstręt do niej. Miałyżby to krwawe sceny z wojny francusko-pruskiej natchnąć malarzy francuskich i publiczność francuską takiem łaknieniem krwi, mordów i trupów? Dla historjozofa jest tu wdzięczne acz może nie bardzo przyjemne pole do badania tak oryginalnego psychicznego symptomatu. A bodaj czy nie naprawdę datuje on od owej wojny. Jeżeli się nie mylimy to pierwszy Glaize starszy wystąpił z podobnym na wielką skalę przerażającym obrazem pod tytułem *Spectacle de la folie humaine*, który w Salonie 1872 roku wywołał wielką furorę, na wystawie wiedeńskiej nikomu, z wyjątkiem Francuzów, nie podołał się, na teraźniejszej zaś pozostał w tyle po za obrazami takich Laurensów, Constant'ów, Becker'ów etc.

Becker wyczytał w Starym Testamencie, że Dawid, chcąc zapewnić tron dla swej dynastyi, nietylko nakazał usłużnym kapłanom wymyślić bajeczkę o Messjaszu, który ma przyjść z jego rodu, ale nadto postanowił zgładzić ze świata wszystkich potomków zdetronizowanego Saula. Żeby zaś upozorować to przyzwoicie, postarał się aby wyrocznia wydała rozkaz, iż dla zaspokojenia gniewu bożego i położenia tamy trwającym już od trzech lat nieurodzajom w Sudei, potrzeba siedmiu wnuków Saula wydać w ręce krwi żądnych Gabaonitów. Jak wyrocznia orzekła, tak się też i stało, a Gabaonici, opłaceni sowicie — nie zadali sobie zbyt wiele trudu z niegrzecznymi pretendentami do tronu Dawidowego. Wszystkich siedmiu, zwyczajem hebrajskim, przybili do krzyża. Obraz przedstawia właśnie *en face*, z małem odchyleniem ku profilowi, siedm trupów, w pozach mało różniących się od siebie, przybitych do jakiejś gromadnej szubienicy.

Ale taka wystawa, taki *étalage* siedmiu trupów nie budziłby żadnego interesu, wzniecałby raczej wstręt i obrzydzenie. Dramat się skończył, śmierć swoje wzięła, nie ma zatem przyszłości. A obraz, który w widzu nie wzbudza idei o przyszłości, który obejmuje tylko moment obecny, a nie zaznacza momentu przyszłego, nie powiada co stanie się za chwilę, taki obraz podobny jest raczej do skamieniałości. Znośnem to jest jeszcze w portretowaniu *natury martwej*, ale tam gdzie w grę wchodzą ludzie i gdzie wprowadzono pierwiastki dramatyczne, tam musi być zaznaczony przyszły moment sceny uplastycznionej na obrazie. „Dobrze — rzekł pan Becker — mam przyszłość i dla trupów zawieszonych na szubienicy. Przyszłością ich jest to, że stać się mogą pożywieniem drapieżnych ptaków, Biblja dostarcza mi nawet wątku do tego nowego dramatu, który się zaczyna od śmierci a skończy się z gnilizną. W księdze *królów* w rozd. XXI stoi: — Resfa, matka dwóch powieszonych młodzieńców, siedziała dzień i noc przy szubienicy i odpędzała drapieżne ptastwo.“ Więc też na pierwszym planie obrazu postawił pan Becker owę Resfę, postać potężną i silnie dramatyczną i nakazał jej kijem walczyć z olbrzymim orłem, zajadle dobijającym się do tak obfitej zastawy. Ci, którzy się gorszyli szeregiem ludzkich pochodni w obrazie Siemiradzkiego, ustawionych profilem, a w których ludzie podobni są *„à des paquets de copeaux,“* ci niewątpliwie bardzo musieli wystawić na próbę swe nerwy na widok obrazu Beckera, — obrazu, który zresztą tak pod względem rysunku jak i kolorytu znamionuje nadzwyczaj już wprawny pędzel, a pod względem kompozycyi, ekspresyi, niepospolitej siły dramatycznej daje świadectwo wielkich zdolności autora.

Opisaliśmy jeden tylko — niewątpliwie najlepszy z rzędu tych obrazów, które głównie na *nerwy* widzów obliczone były. Ale takich na wystawie mnóstwo. Młodzi malarze jak gdyby się wyścigali w wynajdywaniu najstraszniejszych tematów. Podczas gdy Becker szukał ich w Biblii, Glaize młodszy czytając Plutarcha wykrzyknął *Eureka!* i przedstawił nam spiskowców rzymskich, którzy, aby się związać przysięgą żelazną, mordują wspólnie człowieka i piją spływającą z tułowia krew; Constant w Hammerowskiej *Historyi Ottomanów* znalazł opis wjazdu Mahometa II do Konstantynopola i natychmiast przedstawił nam stosy trupów i odbywający się po nich tryumfalny marsz sułtański; Regnault—zawcześnie dla sztuki

zgasły — poczerpnął ze swojej fantazyi całą szkaradę sceny tracenia i przedstawił nam z maurytańskich dziejów Grenady obraz, w którym piękno rysunku i kolorytu łączy się z taką szpetotą pomysłu, że od obrazu z wstrętem odwracać się potrzeba. Po białych marmurowych schodach — dla kontrastu najbielszych — stacza się osobno tułów a osobno głowa dopiero co ściętego winowajcy; krew bucha z żył i zlewa smugami schody, na których najwyższym szczeblu stoi kat przed tronem maurytańskiego króla i połą swej tuniki obciera spokojnie miecz.

Młoda generacya francuskich malarzy nietylko na *nerwy* widzów oblicza swe płótna, ale także i na ich *zmysły*. Zdanie jest powszechne, że wśród wszystkich współczesnych szkół europejskich jedynie francuska zdobyła sobie prawo sięgania do najwyższego szczebla sztuki malarskiej, to jest do opracowywania piękna ciał nagich. Młodzi malarze francuscy chętnie z prawa tego korzystają i byle jaki biorą pretekst, aby tylko nagie przedstawić kobiety. Że zaś — jak cała ich szkoła — posiadają niepospolitą biegłość w rysunku i wyborną wprawę w używaniu barw, przeto ich *nudités* są bardzo wdzięczne, miłe, ponętne, ale pięknemi nie są. Przedewszystkiem dla tego, że ich nagie kobiety nie są *nagiemi*, ale *rozebranemi*. A między temi dwoma pojęciami istnieje olbrzymia różnica. Niejedna nimfa, najada, bogini młodych francuskich malarzy wygląda jak gdyby się przed chwilą rozebrała, a za chwilę mogła znowu włożyć buciki, suknię i kapelusz, wdziać rękawiczki i wyjść na przechadzkę na Elizejskie Pola. Taka charakterystyka wypływa ztąd, że z tych nagich bogiń za nadto przebija model, za nadto jego indywidualizm występuje na jaw. Zresztą — jak powiedzieliśmy — ponieważ rysunek jest zawsze prawidłowy i czysty, koloryt zawsze dobry i naturalny, jakkolwiek nie sięga nigdy do tych przecudownych kolorystycznych kombinacyi, jakich dostarczały niegdyś palety mistrzów weneckiej i flamandzkiej szkoły — przeto Francuzi palmę pierwszeństwa trzymają dzisiaj w opracowywaniu piękna nagości, chociaż zdobyć się nie mogą ani na wdzięk Tycjanowski ani na Rubensowskie bogactwo kształtów.

Wśród malarzy kultywujących nagie ciało, Lefebvre (zwłaszcza za swoją *Vérité*, która już na wiedeńskiej wystawie tak się podobała), Delacroix i Carolus Duran z rzędu młodszych, a Henner z rzędu starszych — wszystko jednak drugorzędnych malarzy — najpierwsze zajmują miejsce.

Pejzaż francuski na tegorocznej wystawie bardzo słabo był reprezentowany, ale to też w ogóle jest on słaby. Francuzi widocznie jak do *genre'u* tak i do pejzażu nie mają zdolności i tak pod jednym, jak i pod drugim względem dają się wyprzedzić Niemcom i Anglikom. Już musi być coś w psychicznej naturze rasy germańskiej, że te dwa działy malarstwa z takiem powodzeniem kultywuje dzisiaj i dawniej kultywowała... Przecież w żyłach Ruysdala i Everdinga, Teniersa i van Ostade płynęła krew germańska. Natomiast Francuzi nie umieją przedewszystkiem wybierać tematu Wprawdzie owe ogrody z kapustą, nacią kartoflaną lub sałatą, owe kwoki z kurczętami lub najędyczone indyki, które jeszcze tak niedawno były plagą francuskiego pejzażu, przeniosły się już dzisiaj do podręczników agronomicznych, a natomiast zapanował *las* w rozmaitych formach i z rozmaitemi akcesoryami, — ten najtrudniejszy i zarazem najwspanialszy temat pejzażu. Ale za to w opracowaniu tego tematu, Francuzi więcej imponują techniką niż porywają za serce poezją.

Umyślnie np. najeżają swe prace tysiącznemi trudnościami, aby się popisać, że umieją je dzielnie pokonywać. Wyczerpali już zdaje się wszystkie możebne kolorystyczne kombinacye, wszystkie gatunki powietrza, wszelkie rodzaje oświetlenia; gdzie tam, — przyszedł Corot i Daubigny i oświadczyli, że jeżeli światło jutrzni, dnia i zmierzchu jest wyczerpane, to z światła nocy zaledwie jeden tylko gatunek, *le clair de lune*. Natomiast światło nowiu i w ostatniej kwadrze, kiedy księżyca wcale nie ma, jest prawie nietknięte. I poczęli malować nocne pejzaże i tworzyć przeróżne kombinacye kolorystyczne, które mają być bardzo prześliczne, ale których nic zgoła nie widać. Patrząc na to czarne tło, na niem nieco czarniejsze plamy, a najczarniejszą w głębi otwierającą się paszczę perspektywy, czuje się mimowoli potrzeba świecy lub lampy. „To są arcydzieła dla sów malowane,“ oświadczył jeden ze złośliwych krytyków. Corot i Daubigny już nie żyją, ale szkoły ich posiadają licznych adeptów. Oprócz nich, Harpignies, Pelouse, Flandrin, Bernier i Benouville, — wszystko starszej generacyi malarze — słyną za najlepszych pejzażystów.

Że *portret* stoi na najwyższym szczeblu doskonałości we Francyi — powiedzieliśmy już powyżej, mówiąc o Bonnat'cie. Powód jasny — gdzie technika jest największa, rysunek najwprawniejszy, umiejętność kolorytu najznakomitsza, tam potrzeba bardzo już niewiele uzdolnienia artystycznego, aby oddać na płótnie twarz ludzką według praw estetycznej wierności i natchnąć ją życiem. To też Francya posiada bez liku portrecistów, mnożących się zwłaszcza na żyźnym gruncie zwyczaju, który nakazuje każdemu *bourgeois* mieć w salonie swój i swej magnifiki portret. Do najlepszych oprócz Bonnat'a i Cabanel'a należy: — Cot (wystawił znakomity portret marszałkowej Mac Mahon) Delaunay, Dubufe (świetne portrety Dumasa i Gounoda), Carolus Duran i Robert-Fleury.

Byłoby niesprawiedliwością skończyć przegląd galeryi francuskiej i nie wspomnieć choćby słówkiem o Desgoffe'ie Vallon'ie i Rousseau, trzech niedoścignionych dzisiaj przez nikogo malarzach *martwej natury*. Vallon i Desgoffe odznaczają się przedewszystkiem w malowaniu stali i miedzi, którą oddają tak pięknie jak to ongi umiał Weenix w swych nieśmiertelnych urnach. Specyalnością zaś Rousseau są głównie owoce, sery, jarzyny i ostrygi. Jeżeli prawdą jest, że Zeuxis namalował takie owoce, iż ptaki zlatywały się i dziobały, to obrazy Rousseau mogłyby nawet ludzi w błąd wprowadzać, a że ślinkę do ust przywodzą, to na sobie doświadczyłem.

BOŻE! JAKA ONA GŁUPIA!

— Ależ mateczko kochana,
Ja jestem zawsze jednaka,
Tak samo dla pana Jana,
Jak i dla pana Dydaka.
— Nie, nieprawda, kłamiesz Maniu,
Dzisiaj zrana, po śniadaniu,
Siedziałaś, moje kochanie,
Cały czas przy panu Janie.

— Ależ mateczko jedyna,
To pan Jan sam, mówię mamie,
Siadł przy mnie — mojaż to wina?
Jak mamę kocham nie kłamię.
Czemuż pan Dydak nie siada?
Byłabym tak samo rada
Jednemu jak i drugiemu;
Przecież siąść wolno każdemu.

— Pan Dydak nie jest bałwanem,
Dobrze patrzy w twoje oczy,
Serce ci za panem Janem
Ledwo z piersi nie wyskoczy.
Jest za kim! wielka nowina!
Jakiś tam urzędniczyna!
Dwa tysiące złotych rocznie!
Ciekawam co z żoną pocznie.

— Ależ mamo moja złota,
On o mnie nie myśli może,
Ot, tak, przyjdzie mu ochota,
Siądzie, rozmawia... mój Boże!
Przecież mama nie zaprzeczy,
Że on jest bardziej do rzeczy
Niż pan Dydak, co na świecie
Ideał widzi — w kotlecie.

— Każdy pan bywa łakomy!
Ma na to, bo jest bogaty,
Posiada dobra, dwa domy,
Ze sto tysięcy intraty,...
Gdybyś ty rozumną była,
Tobyś mu się przymiliła,
Dwie, trzy, powłóczyste miny,...
Byłby twoim w pół godziny.

— Ależ ja nie mam ochoty!
Przytem byłoby nieskromnie.
Przecież mu nie powiem: złoty
Dydaczku siadaj koło mnie.
Wreszcie... jeśli chcesz z córeczką
Twoją... rozstać się mateczko!
To... moja złota! kochana!
Ja... ja wolę pana Jana.

— Maniu! co się z tobą stało!
Tobie widzę romans w głowie!
Taką partyę doskonałą
Puszczać! co świat na to powie!
Dziecko! brak ci doświadczenia,
Po ślubie wszystko się zmienia,
Powoli... pana Dydaka
Pokochasz... no, daj buziaka...

— Mamo! on taki paskudny!
Z każdym się kłóci i droczy!
Taki nieużyty, brudny,
Tak śmiesznie wyłupia oczy...
— Maniu! tyś chyba szalona!
Pan Dydak! taka persona!
Pan Dydak! oczy wyłupia!
Boże! jaka ona głupia!

M. Rodoć.

SZCZUR.

NOWELLA

przez

A. de F.

(Dokończenie).

IV.

Kapitan Gilbert spędziwszy wieczór w mieście w towarzystwie swego ajenta, powrócił dopiero około godziny jedenastej w nocy.

— Przykrej wiadomości zmuszony jestem udzielić panu — powitał wchodzącego na pokład pierwszy porucznik — cała prawie załoga wydaliła się bez pozwolenia do miasta.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Kto dziś na służbie?

— Pan Andrews.

— Poprosić go do mnie. — Co to ma znaczyć? — zapytuje z niezadowoleniem kapitan.

— To nie moja wina, panie kapitanie — odpowiedział pan Andrews. — Majtkowie nie zeszli po drabinie; spuszczali się ukradkowo po ścianach okrętu, a potem wskakiwali na wystające belki bulwaru, niepodobieństwo było przytrzymać ich.

Kapitan, jako człowiek sprawiedliwy i znający dobrze Nowy Orlean, nie miał nic przeciwko temu do zarzucenia, jakkolwiek mocno jest niezadowolony na myśl, że jutro ze wschodem słońca ma odpłynąć, a tu majtkowie jego powrócą na pokład albo pijani albo na wpół śpiący; niektórzy z nich może nawet wcale nie powrócą.

W ciągu ostatniego tygodnia, upały kończącego się lata dokuczały nieznośnie. Niebo było martwe, najlżejszy nawet powiew wieczornego wiatru nie ochłodził powietrza. Kapitan wszedł do swojej kajuty na pokładzie, wziął książkę do ręki i próbował czytać; ale uprzykrzone moskity nie dawały mu spokoju: rzucił się więc do łóżka i znużony, zasnął po niejakiej chwili.

Była może pierwsza po północy, gdy usłyszał głos szepczący mu do ucha:

— Panie kapitanie! panie kapitanie!

Zerwał się na równe nogi, schwycił rewolwer i zapalić miał już świece, gdy tenże sam głos powtórzył z cicha:

— Pst! to ja, Dick! nie mów pan ani słowa i nie zapalaj światła; pst! Czy pan masz w swojej załodze jakiego Filipa Wood?

— Był, pompierem; ale uciekł zeszłego tygodnia — odpowiada kapitan również pocichu.

— Czy masz duże pieniądze na swoim statku?

— Duże pieniądze? a jeżeli mam, to co?

— Byłem tego pewny! Otóż, dowiedz się pan, że właśnie w tej chwili Filip Wood i pięciu innych, dobierają się do tych pieniędzy.

— Przebóg! co słyszę! czemuś mnie wcześniej o tem nie uprzedził? — zawołał przestraszony kapitan.

— Nie mogłem, bo mnie przyaresztował policyant, kiedym wychodził od tamtej pani z paczką sukien jakie od niej dostałem. Policyant myślał, że je ukradłem i wsadził mnie do kozy; ale z nadejściem nocy udało mi się wymknąć i zaraz tu przybiegłem.

— Powiadasz więc, że są teraz na pokładzie?

— Posłuchaj pan tylko.

Rzeczywiście, z pokładu stłumiony dochodził łoskot. Kapitan zeskoczył z łóżka, schwycił rewolwer i podał go Dickowi.

— Strzelaj — rzekł do niego — i krzycz: „na pomoc“ co ci sił starczy.

I jednocześnie, wybiegł sam z kajuty.

Największy też już czas był. Złodzieje podeszli majtka stojącego na warcie, związali go i zakneblowali mu usta; następnie przepiłowali łańcuchy zamykające otwór, dobrali się do magazynu i już dwie skrzynki z dolarami stały na pokładzie.

Szczur ściśle spełniając dany mu rozkaz, wdrapał się na pokład i ujrzał pięciu złodziei strzelających do kapitana, który ulokował się po za namiotem i ztamtąd bez przerwy odpowiadał strzałami napastnikom. Dickowi pozostało jeszcze pięć nabojów; wystrzelił je jeden po drugim, z zamkniętemi oczyma. Na odgłos pierwszego strzału, przybiegli porucznik, sternik, lekarz i inni; złodzieje, ze wszech stron obsaczeni, rzucili się w morze, inne bowiem drogi odwrotu mieli sobie odcięte. Trzech zostało na pokładzie: Wood zabity, jeden z przestrzeloną nogą, trzeci zaś z kilku kulami w ciele, które jednak nie zagrażały życiu rannego.

Przedewszystkiem wypadało uwolnić z więzów biednego Andrewsa, skrępowanego przez łotrów. Tymczasem nadeszła policya i zrewidowała cały okręt, szukając czy przypadkiem nie znajdują się jeszcze na nim ukryci złodzieje.

— A tam kto siedzi pod kołem sterowem?— krzyknął nagle porucznik. — Ach! domyślam się teraz wszystkiego! Panie kapitanie! panie kapitanie! patrz pan jaka niewdzięczność! to ten przeklęty szczur, za pomoc jaką mu pan dałeś, sprowadził nam rabusiów na okręt!...

— O mój Boże! — zawołał kapitan. — Zupełnie o nim zapomniałem!... Czy nie ranny przypadkiem?

— Dostał kulkę w piersi, co mu się słusznie należało — odparł Mansfield, przekonany, że kapitan zmysły stracił widząc go klęczącego przed szczurem i przemawiającego z głębokiem rozczuleniem:

— Biedny mój Dicku!... nieszczęśliwy chłopcze! cierpisz bardzo?... nie lękaj się... to ja, twój przyjaciel, kapitan...

— Czy policyanci odeszli już? — zapytał Dick.

— Nie obawiaj się — oni ci nic złego nie zrobią. — Ah! doktorze, przybywaj z pomocą! jedna kropla krwi tego poczciwego chłopca sto razy więcej warta, aniżeli obaj tamci łotry, których opatrujesz. Uczyń wszystko co możesz aby zachować mu życie, a w razie potrzeby, przyzwij na pomoc wszystkich chirurgów z Nowego Orleanu. Biedny mój Dick!

Ranni złodzieje przeniesieni zostali przez policyą do szpitala miejskiego; Dicka umieszczono w kajucie kapitana, na własnem jego łóżku. Lekarz okrętowy odwiedza go ciągle: sprowadzony następnego dnia na konsylium najsławniejszy chirurg z Nowego Orleanu, uznał ranę za bardzo niebezpieczną. Kapitan nie opuszcza łoża chorego.

— Powiedz mi pan — zapytuje go Dick osłabionym głosem — czy to pańskie pieniądze?

— Nie moje, powierzono mi je tylko.

— Miałbyś pan wielką przykrość, gdybyś je był utracił?

— Byłbym do szczętu zrujnowany!

— To i ją by to zmartwiło.

— Ją? kogo?... o kim chcesz mówić, mój chłopcze?

— O tej pani, dla której byłeś pan takim troskliwym w czasie jej choroby.

Kapitan odwrócił głowę, nie mogąc ukryć swego wzruszenia.

— Więc to przez wdzięczność dla niej — zaczął po chwili — zrobiłeś mi tę przysługę?

— Ta pani powiedziała, że byłoby jej bardzo przykro, gdyby pana miało jakie nieszczęście spotkać, bo i pan byłeś dobrym dla niej, kiedy chorowała. Ja już przed dwoma dniami podsłuchałem jak Filip Wood umawiał się z innymi aby ukraść grube pieniądze z jakiegoś statku. Uradzili między sobą, że ściągną na ląd wszystkich majtków i spoją ich, żeby nie mogli wracać, a sami napadną na statek, kiedy oprócz jednego wartownika i kapitana, nikogo więcej na nim nie będzie. Jeden z bandy miał czatować na kapitana i ogłuszyć go uderzeniem pałką w głowę, gdyby chciał wyjść z kajuty. Nie będąc pewnym czy to o pańskim okręcie mowa, szedłem właśnie do pana aby się spytać czy pan masz grube pieniądze, kiedy zostałem aresztowany.

— Ale kto ciebie zranił, mój chłopcze?

— Nie wiem tego, kiedy spostrzegłem nadchodzącą policyą, ukryłem się tam, gdzie mnie pan znalazłeś. Bałem się, żeby policya nie wzięła mnie za należącego do bandy.

V.

Szczczur nasz, na którym i tak nie wiele więcej co było oprócz skóry i kości, utracił zbyt wiele krwi, aby można mieć nadzieję, że zdoła się jeszcze utrzymać przy życiu. Kula, otrzymana w utarczce ze złodziejami, nie przeszła ciała jego na wylot, co byłoby może mniej niebezpiecznem; gdyż naruszywszy prawe płuco uwięzła obok kości pacierzowej. Dick ma wskutek tego silną gorączkę, pomimo dotkliwego bolu całemi godzinami przewraca się z boku na bok, pije dekokty usypiające i orzeźwiające, które go ani uspić, ani orzeźwić nie mogą, i nadziwić się temu nie może, że tak troszczą się o niego i pielęgnują starannie.

Dama, która przybyła odwiedzić Dicka, znalazła go w zatrważającym stanie. Chory oprzytomniał na jej widok, i zapytał o Karolka.

— Ah, biedny człowiecze—odpowiedziała— pomówmy teraz o ważniejszych rzeczach; mówmy o Bogu.

— O Bogu?! — powtórzył z zadziwieniem.

— Byłożby to możliwem, abyś nigdy o Bogu nie słyszał?

— Owszem, słyszałem — odparł Dick — i to nawet dość często. Kiedy deszcz leje, to ludzie mówią: „Niech mnie Bóg skarze, jaki czas paskudny!“ kiedy słońce przyświeca: „Niech mnie Bóg skarze, a to się upiec można!“ A kiedy robotnik nie regularnie zapłatę otrzymuje, z pewnością wykrzykuje co chwila: „A to wstyd, hańba! niech mnie Bóg skarze.“

Zacną damę mocno martwiła tak okropna nieświadomość. Dick znał Boga z przekleństw tylko!

— Dicku — rzekła — tylko źli ludzie używają imienia Boskiego „nadaremnie.“ Pan Bóg stworzył świat ten i wszystko co się na nim znajduje. Pan Bóg jest najwyższą dobrocią i miłosierdziem. Syna swego jedynego przysłał na świat dla naszego zbawienia.

— A mnie jednak nie wybawił od nieszczęścia — przerwał Dick naiwnie.

— Zbawi duszę twoją, Dicku. Nasz Zbawiciel przygarnął do siebie wszystkie dzieci i zapewnił im niebo.

— Czy to było przed ostatnią wojną? — zapytał szczur z zupełną powagą:

— Dawno, bardzo dawno przed wojną.

— No, to od tego czasu wiele rzeczy zmieniło się na świecie! Czy on drugi raz nie przyjdzie?

— To na próżno, moja Joanno! — rzekł mąż damy, który wszedłszy za nią do kajuty, był obecnym tej pierwszej lekcyi katechizmu i słyszał zarzuty Dicka — takich rzeczy niepodobna od jednego razu wyuczyć.

— Ah! — zawołała — kiedy to tak strasznie pomyśleć! biedny chłopiec umierający... Żebym przynajmniej mogła skłonić go do odmówienia jednej modlitwy.

— I myślisz, żeby mu się to na co przydało, gdyby powtórzył machinalnie słowa, których nie rozumie? Pozwól lepiej, że ja mu wytłumaczę w inny sposób, co go czeka niebawem.

Pan Austen zajął miejsce swej żony przy łóżku chorego.

— Dicku — rzekł — lekarze utrzymują, że jeżeli w ciągu nocy nie zajdzie jaka szczęśliwa zmiana w twoim stanie, czego się nie spodziewają, musisz umrzeć.

— Czy to będzie bardzo bolało? — zapytał Dick, a twarz jego zachmurzyła się na chwilę.

— Tego nie wiem. Niektórzy umierają bardzo spokojnie, ale, cóż ty myślisz, Dicku, co nastąpi po twojej śmierci?

— Pogrzeb — odpowiedział Dick. — Jednych chowają z muzyką, jak pompierów; innych znowu wywożą kosztem miasta, na prostym wozie. Czy mnie pochowają na koszt miasta!

— Nie, mój chłopcze, za to mogę ci zaręczyć. Ale mówmy dalej: dokąd pójdziesz po śmierci?

— Do trumny.

— Tak, ciało twoje; a dusza?

— Co to takiego dusza?

Na to zapytanie pan Austen nie znalazł odpowiedzi.

— Módl się za niego — rzekł do żony, której twarz łzami była zalaną; módl się za niego, więcej nic już uczynić dlań nie możemy.

. . . .

— Nie płacz pani tak bardzo — przemówił umierający do pani Austen, kiedy ta napowrót zajęła miejsce przy łóżku.

Z dziecięcą poufałością Dick ujął jej rękę, którą zasłaniała swe oczy. Z początku z lekka ją trzymał, ale ręka damy nie odtrąca jego ręki; zachęcony tą dobrocią, chłopiec ośmiela się i przyciąga ją ku sobie, patrząc w oczy damy; wśród łez spostrzega uśmiech przyjazny. W krótkiem życiu jego, pozbawionem wszelkich uczuć tkliwych, pierwsza to, nieoszacowana, z niczem nieporównana pieszczota! Kładzie rękę damy na swem sercu, silniej jeszcze tuli ją w drobnych swych dłoniach, przechyla głowę na poduszkę i wydając długie westchnienie, zamyka oczy... — Wzruszenie było zbyt silne. . . . . . .

. . . .

VI.

Trzy lata upłynęły, a parowiec kapitana Gilberta stoi znowu na kotwicy, wprost ulicy Jacksona.

Jak przed trzema laty, państwo Austen przybywają do swego przyjaciela, zaproszeni na śniadanie. W chwili gdy pani Austen wstępuje na pokład, podchodzi ku niej wraz z kapitanem, piękny młodzieniec, w niebieskiej flanelowej kurtce, trzymając w ręku kapelusz słomkowy ozdobiony wstążką w kolorach załogi.

— Co widzę! — pani Austen — miałżeby to być Dick?

— On sam, w własnej swej osobie! — odpowiada z dumą kapitan.

— Ah, Dicku! jakże wyrosłeś!

— To już nie moja zasługa — mówi z skromnym uśmiechem, dawny szczur.

Po chwili, kapitan wyjaśnił półgłosem pani Austen, że Dick szczęśliwie uratowany, oddany został do szkół, gdzie w ciągu dwóch lat skorzystał więcej niż inni przez cztery lata zdołają się nauczyć.

— Nadzwyczaj jest pojętny — mówił dalej kapitan Gilbert mam nadzieję, że będzie z niego dzielny marynarz.

— Jakież dałeś mu pan nazwisko? — zapytała dama, kreśląc końcem parasolki po ziemi.

— Moje własne, rozumie się, za zgodą żony... że zaś nie mamy dzieci...

— Zacny z pana człowiek, panie Gilbert!

— Powiedz pani, że człowiek szczęśliwy — odrzekł kapitan z uśmiechem — i wdzięczny — dodał ciszej nieco i z naciskiem. — Dicku! — przemówił głośno — idź, zapytaj pana Austen czy nie pozwoli szklankę grogu.

. . . . .

Tak się kończy historya szczura.

Trochę okruszyn z biesiadnego stołu, ofiarowanych dobrem sercem, wyrwały człowieka ze szponów nędzy i straszniejszej jeszcze grożącej mu przyszłości; jedna pieszczota kobiecej ręki zachowała życie umierającemu dziecku.

Czyż to taka wielka ofiara?

SAWA-CALIŃSKI.

Kitowicz pierwszy wyprowadził na karty dziejów naszych Sawę; po nim autor *Pamiątek Saplicy* poświęcił jeden z obrazków swoich pamięci tego wojownika, którego imię zabrzmiało rozgłośnie w czasach konfederacyi barskiej.

Między ludem naszym brzmi znowu z czasów Stanisława Augusta pieśń o Sawie. Dwa te imiona dotąd się plątały wzajemnie, i nikt nie wiedział czy owa pieśń do Sawy konfederata, czy do innego należy. Niektórzy mniemali, że lud, podług swojego poglądu na rzeczy i wypadki zachował w swej pieśni jego wspomnienie; ale uderzała tu sprzeczność niejedna.

Pieśń oznacza miasteczko *Niemirów* (w Galicyi w cyrkule Żółkiewskim), kiedy wiadomo że Sawa ranny umarł na starem Mazowszu; pieśń sprowadza kozaków, którzy go w domu zabijają— historya zaś zgodnie z prawdą, opowiada jak z ran ciężkich umiera.

Wszystkie te wątpliwości usuwa rękopism, któryśmy otrzymali od p. Łepkowskiego, skreślony ręką jego ojca. Wiadomości w nim zawarte zebrane zostały od następnych osób: śp. Ignacego Łepkowskiego (syna Grzegorza Łepkowskiego, dziedzica na Turzy małej) b. sędziego sądu ziemskiego ziemi Zawskrzeńskiej, sądzącego sprawy matki Sawy; Fabiana Bąskiego, Rotmistrza Sawy; a brata ciotecznego Ignacego Łepkowskiego, u którego często w domu bywał, i od Elżbiety Gladczyńskiej, gospodyni Grzegorza Łepkowskiego, która nocną porą rannemu Sawie konfederatowi jeść nosiła. Tę później Ignacy Łepkowski, jako wierną sługę ojca swego do zgonu utrzymywał. Właśnie nazwisko naszego Sawy było Caliński i tak się sam podpisywał.

Pieśń ludowa, którą słyszeć można zarówno po polsku jak na Rusi galicyjskiej, zachowała się dotąd całkowita, podamy tu w treści pieśń z Czerwonej-Rusi, jak była wydrukowaną w zbiorze Wacława z Oleska (Zalewskiego).

„Był pan Sawa w Niemirowie nie przeczuwając bliskiego nieszczęścia. Kazał chłopcu konia okulbaczyć i pojechał smutny do domu. Przybywa do swego dworu, pyta czeladzi: a co słychać?— Szczęście, szczęście, panie Sawo, szczęśliwa godzina, bo wasza żona, nasza pani, powiła synaczka.

Sawa usiadł w końcu stołu, ciężko się zadumał, a młoda małżonka kołysze dziecinę.

Skocz mi chłopcze do piwnicy, natocz że mi wina, żebym wypił za zdrowie mojej pięknej żonki i mojego syna; a natocz mi razem miodu, bo mi jakoś ciężko w duszy, nudno w sercu i głowa mi cięży. Usiadł Sawa w końcu stołu pocznie listy pisać, a młoda Sawycha przyśpiewuje, kołysząc małego syna.

Jeszcze chłopiec nie pospieszył po miód do piwnicy, gdy dwór cały otoczyli kozacy — przywódca bandy zbójców wyrzekł szydersko:

— Czołem tobie, panie Sawo — jakże się miewasz? dalekich masz teraz gości, a czemże ich przyjmiesz?

Poznał głos wrogów swoich, Sawa poskoczył do szabli, gdy go trzema spisami powalili na ziemię i zamordowali.

Młoda Sawycha wyskoczyła przez okno, a kucharce, wiernej słudze kazała sobie podać dziecinę“.

Kończy się pieśń wyliczeniem zdobyczy jakie złupił w Ukrainie Sawa i odgłosem dzwonów przy jego pogrzebie *).

Pieśń ta poświęconą została pamięci Iwona Sawy, ojca naszego konfederata Barskiego. Szczegóły, które tu podajemy udzielił porucznik Moszczyński, gdy przybył z Ukrainy w powiat Mławski i resztę dni spędził w Moszczanach. Ożenił się z ową młodą Sawychą wdową zamordowanego Iwona, o której pieśń wspomina, i wziął w ojcowską opiekę młodego Sawę. Powiemy teraz o bohaterze pieśni ludowej.

Kiedy w czasach Stanisława Augusta powstała czerń kozacka zapisała krwawo na kartach dziejów rzeź Humańską, imiona Gonty i Żeleźniaka. Iwon Sawa mający niemałą wziętość pomiędzy kozakami, starał się ich uspokoić, przywieść do zgody i wielu pozyskał stronników; ale z uporczywymi niepodobny był sojusz. Iwo przekonany o słuszności sprawy, której dopomagał; znając wszystkie hajdamaków kryjówki, naprowadzał chorągwie polskie i przeważnie dopomagał do poskromienia powstania.

Przedstawiony królowi, wskutek tych zasług mianowanym został dowódcą jednej chorągwi na Ukrainie stojącej, aby łącznie z innemi, energicznie działać przeciw hajdamakom.

Iwo srogi postrach rzucił na powstałą czerń kozaczą. Znając dobrze miejscowość, srogie klęski im zadawał, i wprędce zbogacił się odebranemi łupami, które hajdamacy zdobyli poprzednio po dworach szlachty polskiej i po miastach.

Część kozactwa, która schroniła się na granicę Turcyi, zemstę mu zaprzysięgła; wybrany oddział śmiałków, wyruszył skrycie aby Iwona zamordować.

Wybrali czas właśnie, kiedy ten podług zwyczaju kozackiego, wyprawiał *prażnik* i na nim sobie dobrze podochocił. Wtedy nocną porą napadli dom i jego zamordowali. Mieli zamiar zabić także i syna, aby cały ród nienawistny sobie wytępić; żona jednakże potrafiła uciec i dobiedz nieopodal do kwatery porucznika chorągwi swego męża Moszczyńskiego. – Ten uwiadomiony o rozboju, zebrawszy na prędce żołnierzy ze swojej komendy, przybiegł na pomoc; ale kozacy uszli, a Iwo Sawa nie żył. — Że ciemno było w izbie, w której Iwo zabity spoczywał, przy napadzie kozaków kolebka z małym Sawą przewróconą została, a dziecina pod nią leżąca na szczęście spokojnie się zachowała. Kozacy pewni że matka zaniosła ze sobą dziecię, po zamordowaniu Iwona uszli spiesznie.

Porucznik Moszczyński objął po zgonie jego dowództwo chorągwi, ożenił się z pozostałą wdową, a małego Sawę wziął w swoję opiekę. — Ale będąc już w podeszłym wieku i stargane mając siły w służbie rycerskiej na kresach, wziął uwolnienie i powrócił z żoną i pasierbem swoim do ojczystej zagrody Moszczan, na której to wsi miał część

*) *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego* z muzyką instrumentową, przez Karola Lipińskiego, zebrał i wydał Wacław z *Oleska. Lwów 1833 r.*

Pieśni ludu Biało-Chrobatów-Mazurów i Rusi z nad Bugu K. Wł. Wojcicki T. I w Warszawie 1836 r.

*

dziedziczną. Wieś Moszczany, położona w powiecie Mławskim, w dawnem Województwie Płockiem, w okolicy od strony Prus zwanej *Położany* czyli raczej, *Poboczany*. Jak miejscowe podanie mówi, jeszcze za czasów księcia Konrada Mazowieckiego mieszkającego w Płocku, w skutek napadów częstych od Prusaków, książę ten osadził nad samą granicą ubogą szlachtę, a uwalniając ją od wszelkich podatków włożył na nią obowiązek aby broniła kopców Mazurskich, ztąd całej okolicy dał nazwę *Poboczany*, którą później zamieniono na *Położany*. Osady te rycerskie ubogiej rolnej szlachty, składały parafie *Inowiecka*, *Grzebska* i *Wieczfińska*.

Porucznik Moszczyński, że nie miał żadnego potomstwa umierając część swoją dziedziczną zapisał na Moszczanach żonie, która w niej mieszkała i wychowała syna swojego Sawę.

Tak cudownie uniknąwszy śmierci w niemowlęctwie, przy zamordowaniu ojca, Sawa, doszedłszy do wieku, że mógł broń dźwignąć, czując w sobie siłę i odwagę, w czasie konfederacyi barskiej postanowił wystąpić na pole czynu.

Powziąwszy myśl utworzenia oddzielnej chorągwi partyzanckiej, nie mając swego majątku, zaczął zbierać do pocztu samą szlachtę choćby najuboższą, miał zawsze gotowego wierzchowca z siedzeniem, i szablę doświadczoną, która spadkiem z ojca na syna przechodziła.

Pierwszy zawiązek hufca Sawy złożony był z samej szlachty z Poboczan, lecz wkrótce z trzechset do 2000 jazdy się zwiększył. Każdy towarzysz chorągwi dzielnego Sawy zobowiązywał się przysięgą, że nigdy wziąć się nie da, przenosząc śmierć nad niewolę.

Z hufcem tym odważnym i dobrze wymusztrowanym, dał się wkrótce we znaki nieprzyjaciołom, pod Radomiem i Lublinem. Najwięcej jednak uwijał się w województwie płockiem. Świadek osobisty Łepkowski, podaje nam o tem nieznane dotąd szczegóły w swoim rękopiśmie.

„W okolicy Mławy, gdzie Sawa Caliński wychowywał się, znaczniejsze czyny jego są: Wysłał 160 kawalerzystów na rekonesans do miasta Baciąża, pod dowództwem majora Antonowicza i młodszych dwóch oficerów. Dochodząc do miasta, spotkali młynarza Niemca, trzymającego wiatrak pod Baciążem, który im powiedział, że żadnego nieprzyjaciela nie ma w mieście, spokojni weszli, w ulicę i stanęli na rynku, gdy nagle wysypało się na nich mnóstwo wojska nieprzyjacielskiego, sześćkroć liczniejszego. Bój się rozpoczął morderczy, poległo nieprzyjaciół około dwustu, padł i ich pułkownik; ze strony Polaków zginęło czterdziestu i dowódca Antonowicz. Po jego śmierci objął komendę Grzegorz Łebkowski. Ten, pozostały hufiec podzielił na dwa oddziały, sam ruszył ku Mławie a drugiemu oficerowi Bąskiemu kazał się cofać ku Płockowi. Za Łebkowskim ruszył silniejszy oddział nieprzyjaciół; co spostrzegłszy Bąski, kiedy wszedł na groblę, zawrócił się nagle i z tyłu uderzył w tej chwili, gdy Łebkowski wsparł go z frontu. We dwa ognie wzięty nieprzyjaciel, rozbity, poszedł w rozsypkę, straciwszy czterdziestu w zabitych, naszych zginęło ośmiu.

Drugi wypadek; odebrał jeden z pułkowników nieprzyjacielskich rozkaz, aby z 1200 piechoty i sześciu armatami ciągle ścigał Sawę i nie dał mu odpoczynku, co przeszło dwa tygodnie trwało. Bywało, że skoro nieprzyjaciele zbliżali się, on z tej wsi ustępował, a w następnej dawał swoim odpoczynek. (Dok. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 19. grudnia.

Nowości zebrało się tyle, że wypadnie chyba piszącemu wezwać pomocy Ducha świętego, aby w tej tygodniowej spowiedzi przed czytelnikami o czem bądź nie zapomniał. Najpierwszą jest, o której wszystkie wróble na dachach świergocą, że mamy śnieg, mróz, sannę, ślizgawkę, rozstrojony słuch od brzęku dzwonków, podrożenie drzewa, i niestety czerwone noski u dam... Mój mocny Boże, jakże mi żal tych kwitnących nosków pod zasianemi złotem woalkami; jest to prawdziwe nieszczęście dla panien, zatruwające im kilka godzin życia codziennie. Ale cóż ja poradzę na to? Chyba siedzieć w domu trzymając przez dwie godziny reprezentanta węchu w wodzie, lub sprawić mu kapturek watowany, pachnący, futerkiem obszyty i do figury. Skutkiem więc owej zimy, pokazały się w oknach żelaznych sklepów Halifaksy, prawdziwe maszyny do krajania lodu, a miejskie wagabundy nie dają przejść swobodnie trotuarem, bo przyczepiwszy łyżwę do jednej nogi odbywają forsowne próby ślizgania, zanim ich opatrzność powoła na szerszą arenę tej nowomodnej rozrywki. Zauważaliśmy od pewnego czasu, że młode panienki odkąd puściły się na zdradne i śliskie przestrzenie lodu, wprawdzie daleko mniej umierają, ale też jednocześnie i mniej idą za mąż. Piękne te istoty, które i bez Halifaksów umiały doskonale ślizgać się po naszych sercach, o ile wiem nie odznaczających się przymiotami lodu — teraz nabrawszy wprawy, rzuciły postrach czy im nie przyjdzie do głowy użyć przyszłych mężów za łyżwy. Dotąd siadywaliśmy zwykle pod trzewiczkiem i po nas jeżdżono, ale gdyby jeszcze chciały nami jeździć — tego byłoby zanadto, i ztąd strach wielki przed małżeństwem.

Ślizgawka sprowadziła myśl naszą na tramwaye czyli kolej konną, którą w ciągu roku ma nas obdarzyć Rada miejska za pośrednictwem belgijskiego stowarzyszenia. Nasze towarzystwo przemysłowe i towarzystwo ukończonych techników wyglądających roboty i zajęcia jak kania deszczu, zapewne krzyknie chórem: „nie pozwalam“ i...... ucieknie na Pragę po staropolsku, a Francuzi przez lat 60 będą zbierać sobie poczciwe centy galicyjskie i wozić poczciwych z kościami radnych miasta z Łyczakowa do Dworca kolei, a kto wie, czy i nie na cmentarz Łyczakowski, gdzie niezadługo postawimy nagrobek polskiej przedsiębiorczości.

Zdaje się, że ten sam los spotka kiedyś zamiar wybudowania we Lwowie łazienek publicznych, których dotkliwy brak powszechnie czuć się daje, sprowadzając fatalne następstwa dla zdrowia mieszkańców. Na stutysięczną ludność miasta, bez rzeki i w najgorszych warunkach hygienicznych pomieszczonego, kilka wanien w łazienkach przy ulicy Akademickiej i to wanien, którychby się najuboższe miasteczko w Niemczech wstydziło — ma wystarczać dla stolicy galicyjskiej. Że tam gdzieś jeszcze są drugie łazienki tego samego gatunku, a w hotelu europejskim parę wanien dla wysoko w kieszeń opatrzonych dostojników, że są dwie, czy trzy łaźnie, do których się nie można docisnąć — to za to uboższa ludność nie ma gdzie i nie jest w stanie obmyć swego grzesznego ciała, na którem pył szutrowanych ulic latami siedzi, i gotów nowe skały kiedyś uformować. A do kogoż to należy podjęcie inicyatywy w tym względzie jak nie do Magistratu, tej stogłownej opieki i władzy nad Lwowem?

Gdy idzie o wielką politykę, słyszymy z trybuny ratuszowej sali tyle pięknych i patryotycznych mów, tyle gorącej miłości obywatelskiej i werwy oratorskiej, tyle ofiar i kosztów — a tu gdzie nie ryzykując można zrobić dobrodziejstwo dla biednej ludności, a wygodę dla zamożniejszej — to sprawa ta nie wchodzi na porządek dzienny. Niedaleko szukając w Warszawie i w całej Rosyi nie ma miasta, nie ma wsi i osady, gdzieby nie istniała publiczna łaźnia, w której za kilka groszy biedny wyrobnik i rzemieślnik może się wykąpać! — dla tego też i lud tam zdrowszy i do znoszenia niewygód przyzwyczajony, i chęć ma do pracy i do ochędóstwa przywyka... Jeżeli miasto nie ma odpowiednich funduszów do dyspozycyi, niech pożyczy, a zaręczamy, że ze spłatą pożyczki nie będzie miało kłopotu — zakłady tego rodzaju w lat trzydzieści najdalej spłacą dochodami i kapitał i procenta powiększywszy majątek miasta.

Wydział krajowy wykonując polecenie sejmu, powtórnie już zwołał ankietę dla obmyślenia środków, w jaki sposób najskuteczniej przyjść z pomocą ludności wiejskiej. O ile wiemy postanowiono w zasadzie założenie Banku hipotecznego pod gwarancyą krajową, dla udzielania ile się da tanich pożyczek na mniejszą własność mającą uregulowaną hypotekę. Bank taki zostający pod kontrolą Wydziału krajowego zajmowałby się i eskontem weksli i udzielałby kredytu kasom zaliczkowym dla ułatwienia operacyi opartych już na kredycie osobistym. Jest nadzieja, że do zwołania następnego sejmu rzecz będzie tak przygotowaną, iż da się w roku przyszłym w życie wprowadzić.

Przy nadchodzących świętach Bożego narodzenia dobroczynność publiczna znajduje szeroko otwarte pole dla swej działalności. Koncert w kasynie mieszczańskiem na opłatek dla biednych powiódł się wyśmienicie tak, że biletów już zabrakło. Dobroczynne damy w lokalu Banku kredytowego przy Jagiellońskiej ulicy otwierają bazar sprzedaży zabawek dziecinnych po cenach sklepowych, a zysk 15%, jaki tutejsi kupcy dla bazaru ustępują, ma być użyty na wigilie dla biednych dziatek z zakładu Św. Teresy... Wreszcie księżna Sapieżyna wzywa do składek na potrzeby wykończającego się szpitala dziecinnego Św. Zofii, a z wezwaniem swojem odzywa się do zamożniejszej dziatwy miasta Lwowa, aby zechciała spróbować młodocianych uczuć litości nad biednemi rowieśnikami swemi, których los i cierpienia zapędzą do szukania ratunku w tym nowym Zakładzie. Donosząc o tem wszystkiem, zdaje się że niepotrzebujemy zachęcać łaskawych czytelników naszych do brania udziału w tych dobroczynnych działaniach, wiedząc z góry, że litość nad biednemi i dobre serce współbraci naszych żadnej tu podniety nie potrzebuje.

Chociaż to jeszcze adwent i parę tygodni do otwarcia sezonu tańcującego, to już p. Tymolski i pan Lipiński puścili w świat kilka nowości muzycznych, na odgłos których już serca drżą, a oczy się błyszczą, jakto się będzie ochoczo tańczyć przy takiej muzyce. — I wojskowe orkiestry odbywają w teatrze próby nowych kompozycyi, które mają tak zachęcająco oddziaływać na ruch nóżek słuchających, że w ślad za muzyką odbywają się już miniatorowe próby samego tańca po lożach i kurytarzach teatru. Obserwując takie

objawy, powinna by dyrekcya zamiast silenia się na nowe opery uwzględnić te niepohamowane chęci wprowadzając do swego programu naprzykład próby małego balu... ale to tak ex abrupto bez żadnej zapowiedzi... Jesteśmy przekonani, że niespodzianka taka udała by się przewybornie i bez kosztu, za co wszyscy papowie i mężowie byliby nadzwyczaj obowiązani. Wyobraźmy sobie jakiby to nastąpił ruch w całym teatrze, gdyby danserowie krzesłowi porwawszy sąsiadki rzucili się na scenę do tańca, a damy lożowe naraz opadła chmara tancerzy na próbę i powyciągała do walczyka... Wiek nasz jest wiekiem wynalazków... kto wie czyby i ta nie miała dobrego powodzenia jak wszystkie niespodzianki.

Z rzetelnem uznaniem i pocieszającą przepowiednią na przyszłość, musimy tu zaznaczyć iż kupno książek na gwiazdkę dla dzieci i nie dzieci idzie tego roku daleko żywiej niż kiedy indziej. Czy to z własnej inicyatywy, czy to idąc za powiewem mody wielkich i małych salonów paryzkich, — panie nasze zaprowadziły ten piękny zwyczaj rozkładania na stołach swoich świeższych nowości literackich. Dziś uchodziłoby to za wielki barbaryzm we Francyi, za brak znajomości świata i dobrego tonu, gdyby piękna dama ozdobę swego salonu pozostawiła tylko albumom z fotografiami. Najświeższe numera pism peryodycznych mających uznanie, dopiero co z pod prasy wydobyte książki, notabene rozcięte nawet, muszą tam być porzucone w miłym nieładzie. Ztąd też i u nas każda z pań mająca pretensyę do wykształcenia, spieszy do księgarni skwapliwie, co też tam nowego pokazało się w tych czasach. — Zamiłowanie to, czy moda, daj Boże, żeby wkrótce weszły w zwyczaj i potrzebę każdego familijnego domu, a niepotrzebowaliśmy zarzucać Galicyi obojętności dla literatury i sztuki, które doprawdy nieco dotąd kuleją....

Szanownemu korespondentowi z Kańczugi wdzięczni jesteśmy za jego łaskawą gotowość przyjścia z pomocą naszej kronice. — Donosi on, że w jego okolicy ruch umysłowy nie zasypia, że jakkolwiek trudno za tanie pieniądze pozbyć zboża, i ciężko oddawać grosz jaki z sum przeznaczonych na suknie, liberye, maczki, dyabełki lub taroki, — to jednak prenumerują kilkanaście pism beletrestycznych i naukowych i powoli formują po domach obywatelskich biblioteczki z dzieł poważniejszej treści. — Prawda, że mają tam wzór godzien naśladowania i zachęty w osobie księdza dziekana Kowalskiego posła na sejm krajowy, któremu działalność około podniesienia moralnej strony ludu wiejskiego, nie przeszkadza zajmować się nauką astronomii i matematyki. Niedawno wydał „Gnomikę“ czyli naukę urządzania zegarów słonecznych, obecnie zaś kończy „praktyczne miernictwo“, książkę wielce użyteczną dla mieszkających na wsi, którzy przy najmniejszej potrzebie mierniczej, nie mogą sobie dać rady i muszą sprowadzać jeometrę.

Starym i odwiecznym zwyczajem polskim, poważy się i kronikarz Tygodnia przesłać czytelnikom swoim serdeczne życzenia „Dosiego Roku.“ Nieznani sobie osobiście, lecz pokrewni duchem i połączeni wspólną pracą około dobra i sprawy narodowej, łamiemy myślą ten opłatek polski ze wszystkimi, dla których starania nasze nie są obojętnemi. Tak jak kraj cały, tak i pismo nasze walcząc na każdym kroku o pierwsze potrzeby życia, nie chcemy ustawać w tej pracy i nie tracimy nadziei, że przyjdzie chwila tryumfu i dla nas rozbitków, i że my odszukamy wreszcie i odbudujemy własny kąt ojczysty, w którym szczęście i spokój dla Polski zamieszka.

* * *

Zasłużona na polu pedagogicznem pani Felicya z Wasilewskich Boberska, rozpoczęła kurs publiczny historyi literatury powszechnej. Wykłady odbywają się w jej własnem mieszkaniu i cała ósma klasa jej wychowawczego zakładu korzysta z nich bezpłatnie. Dla osób obcych kurs cały, mający trwać cztery miesiące, kosztuje dwanaście złr., miesięcznie zaś po 4 złr. Nauczycielki lub kobiety sposobiące się do zawodu nauczycielskiego, otrzymają wstęp za połowę ceny.

Szanowne i zasłużone imię prelegentki już na pierwszy wykład ściągnęło znaczne grono publiczności. Zwracamy przytem na to uwagę, że sam przedmiot, to jest historya literatury powszechnej, tak jest po macoszemu traktowana nie tylko w szkołach średnich, męskich i żeńskich, ale i na uniwersytecie, że wykłady pani Boberskiej są prawdziwem dobrodziejstwem dla młodzieży, pragnącej posiąść wszechstronne wykształcenie. Historya literatury zostaje w najściślejszym związku z historyą cywilizacyi i o ile wiemy, ma prelegentka dzieje literatury rozwijać na tle dziejów cywilizacyi.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Bartoszewicz Julian.* Dzieła. Tom III. zawiera: Historya pierwotna Polski. Wydanie pierwsze z rękopismu. Tom I. 8ka str. 494. Kraków 1878. cena prenumeracyjna na 10 tomów 30 złr.

— *Białecki Dr. Prof.* O konwencyi genewskiej odczyt. 8ka str. 20. Warszawa 1878. 20 ct.

— *Chaillu Paweł du.* Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce zachodniej, przystępnie opowiedziane przełożył A. Wrześniowski (z czterema rycinami) 8ka str. 301. Warszawa 1879. Kartonowane. 2 złr.

— *Dumas Aleksander.* Rok we Florencyi. 8ka str. 350. Warszawa 1879. 1·70 ct.

— *Jadwiga Teresa.* Obrazki dziejowe dla młodzieży z 6-ma rycinami rysunku Juliusza Kossaka. 8ka str. 311. Kartonowane 2 złr.

— *Jasiński Stanisław.* Wzory i plany ogrodów zastosowane do potrzeb naszego kraju, oraz wzory kobierców kwiatowych z 16 ma tablicami planów i opisem budowli stosownych roślin. 4-to str. 66. Warszawa 1879. Kartonowane. 6 złr.

— *Mrówka Janek.* Kto jest Kraszewski i co zrobił. 8ka str. 24. Warszawa 1878. 12 ct.

— *Mayne-Reid.* Porwana siostra, przekład z francuskiego P. S. z 7-ma rycinami, 8ka str. 188. Warszawa 1879. Kartonowane. 1·70 ct.

— *Rola T. J.* Błogosławieństwo na drogę życia. 8ka str. 125. Warszawa 1879. 70 ct.

— *Ronne Eugeniusz Baron.* Poezye i prace dramatyczne. 8ka str. 400. Wilno 1878. 2·50 ct.

— *Sienkiewicz H.* (Litwos). Na marne. Szkic powieściowy. 8ka str. 244. Warszawa 1879. 1·25 ct.

— *Tripplin Dr T.* Wspomnienia z ostatnich podróży. Tom III. 8ka str. 170. Warszawa 1878. 2 15 ct.

— *Wentura O.* Wzór doskonałej chrześcijanki w tegoczesnym świecie żyjącej, czyli żywot Wirgini Bruni-Granei zmarłej w Rzymie w roku 1840, po włosku napisane, a na polskie przełożył ks. Prokop Kapucyn. 8ka str. 244. Warszawa 1879. 1.50 ct.

— *Wilczyński A.* Kłopoty starego komendanta. Obrazki z naszych czasów. Opowiadanie. Wydanie drugie z rysunkami E. Błotnickiego. Tom I. 8ka str. 230. Lwów 1879. Cena za całość (3 tomy) 5·80 ct.

— *Zakrzewski Wincenty.* Po ucieczce Henryka. Dzieje bezkrólewia 1574—1575. 8ka str. 440. Warszawa 1878. 4 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Śpiewnika Polskiego opuściły prasę zeszyty 5 i 6, z któremi został zakończony tom I zawierający *Piosnki patryotyczne.* — Mnóstwo piosnek nadsyłanych z różnych stron kraju pozwala mieć nadzieję że *Śpiewnik* będzie wydany z możliwą dokładnością.

*** Opuścił już prasę zeszyt trzeci *Dziejów polskich* Ryszarda Reppla. Znakomite to dzieło można otrzymać w drodze prenumeracyjnej za bardzo niską cenę bo 6 złr. za 2 tomy.

*** Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała na tegoroczną Gwiazdkę: *Obrazki dziejowe* dla młodzieży przez Teresę Jadwigę z 6 rycinami Juliusza Kossaka. — *Przygody podróżnika i myśliwego* w Afryce zachodniej, przystępnie opowiedziane przez Pawła du Chaillu, Przełożył A. Wrześniowski. z 4 rycinami. — *Przygody na lądzie i morzu. Porwana Siostra* przez kapitana Mayne-Reida. Przekład polski P. S. z 7 rycinami.

*** Nakładem B. Cassiusa wyszły z druku *Wzory i plany ogrodów* zastosowane do potrzeb naszego kraju oraz wzory kobierców kwiatowych z 16tu tablicami planów i opisem hodowli stosownych roślin przez Stanisława Jasińskiego. Wydanie in 4to bardzo starannie opracowane.

*** Pan Simonenko prof. uniw. warszawskiego ogłosił drukiem swoje dwa odczyty publiczne (w języku moskiewskim), których treścią było porównanie postępu ekonomicznego, umysłowego i moralnego między ludem pod trzema zaborami polskiemi, a właściwie w Królestwie Polskiem, w Poznańskiem i w Galicyi od czasu uwłaszczenia ludu tj. od lat 1848 (Galicya), 1850 (Poznań), 1864 (Królestwo Polskie). Bardzo to dla nas ważny głos cudzoziemca, który ze statystyką w ręku i nieskrępowany żadnemi względami obojętnie podnosi zasłonę i odkrywa nie raz bardzo bolesne rany naszego społeczeństwa. Najgorzej na tem porównaniu wychodzi Galicya, tem bardziej więc należy nam skorzystać z pracy P. Simonenki, bronić się, gdzie można, rozejrzeć się w zarzutach słusznych i szukać na nie zaradczych środków.

Ważny ten przedmiot rozbierzemy w kilku wstępnych artykułach z początkiem roku przyszłego.

*** Do prastarych dziejów polskich ważny odkryto rękopism w Petersburgu; jestto pamiętnik pewnego izraelity, który za panowania Mieszka przybył na Słowiańszczyznę dla handlu niewolnikami. Z dosyć długiego pobytu na dworze księcia polskiego, izraelita ów pozostawił obszerne sprawozdanie, w którem dotknął ówczesnych obyczajów, mianowicie opisał ubiory, życie rodzinne i w ogóle stosunki wewnętrzne. Ciekawy ten przyczynek, niezmierne rzuca światło, na dzieje pierwotne Polski. Wydawnictwo rękopisu pomienionego po arabsku, w przekładzie rosyjskim i francuskim, prowadzi się pod kierunkiem jednego z najzdolniejszych członków akademii. Sądzimy, że wiadomość ta zainteresuje miłośników starożytności krajowych, którzy zapewne z upragnieniem powitają ten materyał źródłowy głębokiej przeszłości.

Odkrycia i wynalazki.

*** Maszyna do latania.

Dr. Ackermann przedstawił urzędowi patentowemu w Berlinie model wynalezionego przez siebie przyrządu do wznoszenia się w powietrze sfery.

Przyrząd składa się z odpowiednio urządzonego balonu wypełnionego gazem do oświetlania używanym, regulowanego poruszeniami skrzydłowemi, dozwalającemi wznosić się do żądanej wysokości.

Osobne urządzenie normuje kierunek i szybkość aparatu.

Podobno znaczna firma berlińska podjęła się wyrobu tych aparatów.

*** *Daily News* podają z New-Yorku wiadomość, iż wynalazca fonografu złożył już zegar mierzący strumień elektryczności.

Jak wiadomo, Edisonowi udało się podobno rozszczepić prąd elektryczny i za pomocą stosownych przyrządów umożebnić oświetlanie nim gmachów, ulic i domów prywatnych na tej samej zasadzie co oświetlanie gazem, t. j. że po jednym drucie, niby żelazną rurą przepływać będzie strumień do kilku lamp i świec elektrycznych, które dotychczas osobnych łączników z bateryą potrzebowały.

Zegar Edisona kontroluje ilość zużytej elektry-

czności ze ścisłością jednej tysiącznej części skonsumowanej całości.

Wynalazca zapowiada, że skoro ukończy całe urządzenie i wygotuje model, poda natychmiast do publicznej wiadomości rezultaty swych badań i wykaże, iż jego system elektrycznego oświetlania jest nietylko praktyczniejszym ale i tańszym od gazu.

Jeśli to tylko nie humbug, to wkrótce każde miasto będzie mogło mieć swój sztuczny księżyc w nocy, rywalizujący z pełnią miesiąca naturalnego, a wcale nie niebezpieczny dla lunatyków.

Szkoły.

*** W Kijowskim uniwersytecie zapisało się na wyższe kursa kobiet 321, liczba ta dzieli się w sposób następujący między pojedyńcze wydziały: Wydział historyczno-filologiczny słuchaczek stałych 157, postronnych 26 — razem 183; fizyko-matematyczny stałych 117, postronnych 10 — razem 127. Ogółem 310. Pozostałe 11 wybrały sobie po jednym jakimkolwiekbądź przedmiocie.

Z liczby 274 kobiet, zaliczonych do stałych słuchaczek, tylko 13 zostały poddane egzaminowi wstępnemu, pozostałe zaś 261, przyjęto na podstawie świadectw o ukończeniu kursu w różnych zakładach naukowych: w gimnazyach 77 i pół proc., w instytutach 9 proc. w szkołach duchownych 7, w innych zakładach 1 procent. Z liczby przyjętych słuchaczek na zasadzie świadectw, 3/5 otrzymało wykształcenie w zakładach naukowych kijowskich. Jeżeli zaś dołączyć do nich 47 słuchaczek postronnych, które prawie wszystkie są Kijowiankami, to wypadnie, że 2/3 ogółu słuchaczek pochodzą z Kijowa i jego okolic, 1/4 z gubernij sąsiednich—na miejscowości zaś bardziej oddalone pozostaje tylko kilka osobistości.

Słuchaczki stałe są obowiązane do stałego uczęszczania na wykłady; dla kontrolowania ich zająć urządzone zostały repetycye, w końcu zaś roku egzamina przejściowe ze wszystkich przedmiotów, obowiązujących w danym wydziale. Wyższe kursa uważane za instytucyę prywatną i z tego powodu nie korzystają z żadnych zapomóg rządowych. W skutek tego środki materyalne instytucya otrzymuje z dwóch tylko źródeł: z ofiar prywatnych i z opłaty za wykłady. Dzięki znacznej ilości zapisanych na kursa, środki finansowe instytucyi można uważać za dostateczne i byt materyalny kursów jako zapewniony.

Starożytności.

*** W przyszłym roku 1879 obchodzić będzie świat archeologów 1800-letnią rocznicę zniszczenia miast *Pompei i Herkulanum* przez wybuch Wezuwiusza. Miejscowości te zasypane wówczas popiołem i lawą, znikły z powierzchni ziemi, aż przed stu laty odnalezione z wielkiemi trudami i kosztami odgrzebane zostały, i dają poznać urządzenia i obyczaje ówczesnych miast rzymskich. Rzadką zaprawdę rocznicę tych miejscowości zamierzają w przyszłym roku odwiedzić nietylko archeologowie z zamiłowania starożytnej sztuki, ale także ciekawi turyści.—W Grecji za staraniem rządów greckiego i niemieckiego czynią archeologowie wciąż poszukiwania. Odkryli już wiele drogocennych zabytków, i świeżo na polach Olimpijskich odkopano znowu fundamenta jakiegoś wspaniałego budynku. Najwięcej dokonał tam znany badacz starożytności dr. Schlieman; na północno-wschodniej krawędzi wyspy Itaki odnalazł on „miasto Homerowe,“ gdzie się najmniej tego spodziewał. Mianowicie wykopał 90 domów w rodzaju budowli cyklopowych Homerowego miasta Itaki — Dzienniki algierskie donoszą, że wkrótce świat ujrzy nowe skarby starożytne, które co do wartości przewyższą odkrycia Schliemana. Wiadomo, że Jugurta, król Numidji, przed dostaniem się do niewoli rzymskiej, wszystkie swe skarby na 75 wielbłądach przewiózł i w grocie głębokiej na 30 łokci zakopać a grotę zamurować kazał. Niejaki Baroni wpadł na ślad tej groty w pobliżu miasta Bony w Algierze, i donosi, że ma tylko przebić sklepienie, aby się dostać do owych skarbów.

HENRYK LEWES.

Nekrologię bieżącego miesiąca rozpoczęła śmierć jednego z najpoważniejszych literatów angielskich, Jerzego, Henryka Lewes'a, słynnego autora „Życiorysu Goethego," — „Fizyologii codziennego życia," — „Sztuki aktorskiej“ i wielu innych dzieł zasługujących na odznaczenie.

Już samo zestawienie powyższych tytułów wykazuje ogromną różnostronność wiedzy i talentu autora, który każdy przedmiot opracowany przez siebie starał się wpierw poznać do gruntu, wystudyować sumiennie i krytycznym umysłem owładnąć.

Urodzony w Anglii, tamże ukończył szkoły i początkowo poświęcał się medycynie. Lecz ta specyalność nie stała się głównym jego zawodem. Z kilku dzieł wzbogacających tę gałęź literatury angielskiej najwięcej rozgłosu zyskała mu popularna, prawie feljetonowo opracowana obok całej ścisłości naukowej, „Fizyologia codziennego życia.“ przełożona starannie na język polski przez Ludwika Masłowskiego, zasłużonego pod względem zasilania naszego piśmiennictwa utworami głębszej wartości naukowej tłómacza i nakładcy w Krakowie.

W roku 1850 zjawiła się książka, która najwięcej hałasu narobiła w Niemczech nie tylko ze względu na swoje literackie przymioty, ale i na osobistość autora; Anglik podjął się napisać bjografię i krytykę dzieł największego poety Niemiec, który nadarmo do tego czasu czekał godnego siebie biografa.

„Life of Goethe“ zawstydziło Niemców. Wiadomość o tem, że ktoś obcy śmie rozstrząsać dzieje i tajniki jenialnej twórczości ich wielkiego mistrza poezyi — przeraziła wielbicieli „Fausta.“ Dla uratowania honoru narodowego dwóch rodaków poety Viehoff i Schaefer wzięli się prawie równocześnie do pracy, pierwszy aż cztery tomy zapisał, drugi w dwóch starał się zmieścić tylko treściwy życiorys Goethego, ale obaj musieli uznać, że ani pod względem dokładności, ani pod względem wniknięcia i zrozumienia dzieł nie dorównali Lewes'owi.

Anglik zatryumfował nad nimi; kierując się zdaniem Szyllera: *wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*, Lewes wybrał się też rzeczywiście do Niemiec i tam skrzętnie przez długi czas zbierał wszystkie ślady, pamiątki i rysy pozostałe po Goetem; nie tylko przeczytał wszystko, co ten olbrzym napisał, ale i większą część tego co o nim napisano.

Lata całe spędził na poznaniu źródeł poezyi niemieckiej, epoki w której Goethe żył, nie pominął ani jednego szczegółu, któryby mógł był przyczynić się do rozjaśnienia twórczej indywidualności i charakteru poety; kiedy później skrystalizował swoje studya i poglądy w dwutomowem dziele, obudził niem powszechny podziw krytyków i publiczności.

„Dzieje żywota i utworów Goethego“ zostały później na wszystkie prawie cywilizowane języki przełożone. W Niemczech doczekały się one przeszło dwanaście edycyi. Na polskie przełożył, a właściwie streścił i własnemi uwagami niepotrzebnie przekształcił dzieło Levesa A. Nowosielski w roku 1860.

Żałować tylko wypada, że żaden z naszych wieszczów nie doczekał się tak znakomitego biografa i krytyka choćby u obych, skoro swoi zdobyć się na godne ocenienie dzieł ich i żywota dotychczas nie mogli.

Henryk Leves (Ljuis) urodził się w roku 1817. Po ukończeniu studyów obrał sobie zawód dziennikarski, redagował i wspierał swojemi pracami najpoważniejsze wydawnictwa prasy angielskiej. Później wydawał sam dziennik „The Leader.“

Po biografii Goethego zabrał się z równą gorliwością, chociaż nie z takiem już powodzeniem do życiorysu Robespiera.

Zmysł krytyczny i ogromna erudycya w rzeczach literackich nadawały każdej jego rozprawie, każdemu artykułowi cechę powagi, a ożywiony i zajmujący sposób pisania zyskiwał mu ogromną popularność w kołach czytelniczych.

Wyborny znawca sztuki dramatycznej, jako estetyk i krytyk mało miał równych sobie pomiędzy współczesnymi; wydane przed kilku laty dzieło: „O sztuce aktorskiej i aktorach“ — odznaczało się bystrością poglądów, światłością zdań i wyborną znajomością natury artystycznej i talentów.

Podobno śmierć zaskoczyła go właśnie przy pisaniu obszernego dzieła o teatrze niemieckim; zastanawiał się on w niem głównie nad sztuką i artystami teraźniejszości i doszedł do wniosku, że największą z współczesnych aktorek niemieckich jest pani Frieb-Blumaner z nadwornego teatru w Berlinie.

Żona Levesa, rozgłośnie znana powieściopisarka angielska, kryjąca się pod pseudonimem Jerzego Elliot'a, zamierza ogłosić pozostałe po mężu manuskrypta i przygotowuje nową edycyę jego dzieł.

O ile nieboszczyk zdobywał sławę, o tyle żona jego zbierała materyalne korzyści; za jedną z ostatnich powieści zapłacili jej wydawcy londyńscy przeszło 100,000 złr.

ROZMAITOŚCI

*** Historya o zakopanym skarbie. Pod takim tytułem dzienniki paryzkie opowiadają oryginalne zdarzenie, za wiarogodność którego ręczą sumieniem.

Do bogatego przemysłowca X*., zamieszkałego w okolicach Paryża, zgłosił się przed kilku dniami jakiś nieznajomy, który zaraz na wstępie oświadczył tonem arcytajemniczym, iż przychodzi w interesie bardzo delikatnej materyi i wielce pilnym.

A gdy zaciekawiony przemysłowiec poprosił go do gabinetu swego, gdzie mogliby porozmawiać sam na sam, wówczas przybysz zaczął opowiadać, że ma żonę jasnowidzącą, od której dowiedział się, że w ogrodzie pana X. znajduje się skarb, zakopany pod pewnem drzewem.

I przy tych słowach zaproponował, iż wskaże przemysłowcowi owo ponętne miejsce, a nawet dopomoże wydobyć z łona ziemi ukryte pieniądze, pod warunkiem jednak, że otrzyma połowę skarbu drogą podziału.

Któżby się nie skusił tak powabną propozycyą? najskrupulatniejszy idealista nie oparłby się jej z pewnością, a cóż dopiero pan X., który bynajmniej nie podzielał zasady: „że złoto to chimera“...

Przystąpił on więc chętnie do współki, projektowanej przez osobliwego gościa swego, który zresztą wydał mu się z obejścia i z... ubrania człowiekiem z „towarzystwa“.

Postanowiono atoli zatrzymać się z poszukiwaniami do nastania nocy, pod osłoną której możnaby dokonać złotodajnej pracy, nie narażając się wcale na szpiegowanie ze strony przysłowiowo ciekawych sąsiadów.

Więc dopiero gdy nocne cienie kłaść się zaczęły na „arenę zabiegów ludzkich“ *vulgo* rodzicielkę-ziemię, dwaj nasi poszukiwacze skarbów chyłkiem podążyli do ogrodu, zaopatrzeni w rydle i sporą latarkę.

Małżonek jasnowidzącej prędko odnalazł rzeczone drzewo i nasi amatorowie potężnego kruszcu zabrali się gorliwie do kopania.

Już pan X. spocił się tak rzetelnie, jak gdyby był, dajmy na to, we Lwowie na koncercie i siły zaczęły go już opuszczać, gdy wtem obił mu się o uszy odgłos, który pochodził jakby od uderzenia jego rydla o żelazo.

Ożywiony nadzieją, kopał dalej przy pomocy towarzysza i wkrótce oczom ich ukazała się dosyć duża szkatułka okuta w żelazo.

Szkatułkę ową natychmiast przeniesiono *viribus unitis* do gabinetu przemysłowca.

Po otwarciu jej, blask licznych pięciofrankówek olśnił pana X., który nie omieszkał przetrzeć oczu, chcąc się przekonać, czy to „sen, marzenie“, czy też realna rzeczywistość.

Przy niezbyt jasnem świetle wspomnianej latarki uskuteczniono podział: przypadło każdemu cztery tysiące franków.

Ponieważ jednak 4000 franków w pięciofrankowej monecie łatwo mogą oberwać kieszenie, zwłaszcza pochodzące z magazynu najmodniejszego artysty-krawca, przeto, powołując się na okoliczność powyższą, sumienny wspólnik poprosił pana X. o zmianę tej sumy na bilety bankowe, do noszenia o wiele dogodniejsze.

Życzeniu uczyniono zadosyć i po chwili między dwoma wybrańcami kapryśnej fortuny nastąpiło pożegnanie: grzeczne ze strony nieznajomego, serdeczne ze strony przemysłowca.

Bo czyż można nie być serdecznym dla człowieka, którego się poznało wśród tak miłych okoliczności,

Po odejściu dobroczyńcy swego, pan X. strudzony niepomiernie kopaniem, tudzież zmęczony doznanemi wzruszeniami, udał się na spoczynek i legł snem człowieka, co dnia swego nie puścił na marne.

Reporterzy paryscy przypuszczają jednak, iż wśród snu tego trapiła go gorączka... złota.

Nazajutrz, gdy po przebudzeniu się, przypomniał sobie dzieje *temporis acti*, pospieszył czemprędzej upewnić się czy istnieje rzeczywiście skarb jego, dobyty w takim pocie czoła.

Lecz jakież przerażenie odbiło się na jego poważnem obliczu.

Myślicie może, że pięciofrankówki znikły?

Bynajmniej! stosy ich leżały w szkatułce nietknięte.

Ale teraz przy blasku dziennym pan X. poznał, iż pięciofrankówki owe były... fałszywe!...

Oszust zuchwały, któremu udało się pozbyć hurtem tyle towaru swego, dotychczas nie odnaleziony.

A przemysłowiec nasz przeklina „na czem świat stoi" wszystkie jasnowidzące, wszystkich dobroczyńców nieznajomych i wszelkie skarby ukryte!...

*** Romantyczna przygoda w Warszawie. W zamyśleniu, nie oglądając się na stronę, dążył pan X. wolnym krokiem do instytutu muzycznego. Pora była południowa.

Na ulicy ordynackiej, spotyka grupę mężczyzn, widocznie stróżów z sąsiednich domów, a między nimi dość nędznie ale z pańska ubraną kobietę. Cała ta gromadka przy asystencyi paru stójkowych dążyła w stronę Nowego Światu.

Nagle, gdy pan X. doszedł do tej ciekawej gromadki, kobieta wyrywa się z rąk towarzyszów i pada w jego objęcia.

— Panie! ratuj mnie! — woła.

— Co się stało?.

— Ci ludzie ogłosili mnie za warjatkę i prowadzą do spitala.

Po bliższych objaśnieniach osób otaczających p X. dowiedział się, że ją prowadzą nie do szpitala, ale do cyrkułu istotnie zresztą podejrzywając o obłąkanie. Młoda dziewczyna tymczasem, przystojna brunetka, z oczyma wcale nie obłąkanemi, lat najwyżej 19, usprawiedliwiała się swemu opiekunowi przypadkowemu bardzo logicznie i to skłoniło, że do cyrkułu poszedł.

Tu, przy zeznaniu, gdy kobieta powiedziała swoje nazwisko, pan X. zapytał, czy nie zna w Warszawie kogoś nazywającego się tak samo.

— To mój brat rodzony, rzekła.

Przypadek zdarzył, iż pan X. był przyjacielem tego brata; przyrzekłszy więc w cyrkule, iż zaopiekuje się dziewczyną, odprowadził ją do niego.

Po drodze nieszczęśliwa wyznała opiekunowi, że dawno już nic nie jadła. Wstąpił do rzeźnika, kupił jej wędliny, u piekarza zaś parę bułek: z wilczym apetytem jadła to śniadanie.

Wskazany, okazał się rzeczywistym bratem dziewczyny.

— Tak, to moja siostra, rzekł. Istotnie cierpi obłąkanie, a ponieważ ja jestem kawalerem i opiekować się nią nie mogę, mieszka więc u drugiego brata, na wsi, o parę mil od Warszawy. Dziękuję ci serdecznie, żeś się zajął jej losem, ale nie mogę pojąć zkąd ona się wzięła w Warszawie.

Poszukiwania dalsze wykryły, że młoda dziewczyna w przystępie szału uciekła ze wsi do Warszawy, i tu przyszedłszy zatrzymała się pod murem Siostr Miłosierdzia, które zapewne jej nie widziały. Zobaczyły ją w prawdzie nad ranem, ale tylko po to, żeby przywoławszy kilku parobków, w ich towarzystwie jedynie odesłać głodną i z ziębniętą do cyrkułu...

*** Posłuchanie Passanantego, który uczynił zamach na króla Humberta, odbyło się w następujący sposób: Pytania zadawał inspektor Donato. Na pytania te odpowiada on co następuje: Nazywam się Jan Passanante, jestem synem Paskala i mam lat 29. Urodziłem się w Salwii, w departamencie Potenzii i jestem kucharzem.

— Dlaczego chciałeś zamordować króla?

— Przygotowania świetne dla przyjęcia króla gniewały mię. Powiedziałem sobie: On będzie mieć 10 półmisków, ja ani jednego. Dlatego chciałem go zabić. Kupiłem nóż na placu Francesi.

— Jakież są polityczne twoje zapatrywania?

— Jestem republikaninem socyalnym. Moje wyznanie wypisane jest na czerwonej chorągwi: Niech żyje powszechna rzeczpospolita! Proszę zapisać do protokołu, że krzyczałem także: Niech żyje Orsini!

— Czy miałeś istotnie zamiar zabić króla, czy chciałeś go tylko zranić?

— Zabić go chciałem. Gdybym miał pieniądze, byłbym kupił rewolwer, a kulą byłbym go nie chybił.

— Nieszczęśliwy! Czyż zbrodnia, którą chciałeś spełnić nie napawała cię wstrętem?

— Bynajmniej. Nienawidzę królów i cesarzów dla ich zbytku. Z wszystkiego co czytałem przekonałem się, że królowie za dużo wydają pieniędzy.

— Czyliś nie widział, że lud cię chciał zamordować? Gdyby nie policya byłbyś już nie żył.

— Lud jest głupi. W podobnych razach lud zawsze tak postępuje.

— Twoi wspólwinni?

— Nie mam żadnych. Gdybym miał towarzyszów, kupiłbym sobie za pieniądze, któreby oni dali, rewolwer.

— Jak długo jesteś w Neapolu i czego szukasz tutaj?

— Od maja bawię tutaj, nie szukam niczego.

— Jesteś głupiec. Poświęciłeś się, a twoi stronnicy, którzy cię podmówili do zbrodni są ocaleni.

— Powtarzam, że nie mam żadnych stronników.

— Czyliż nie pomyślałeś nad tem, że nawet w razie, gdybyś zabił króla i proklamowana była republika, ty zostałbyś ubogi i zapomniany?

— Bah!

— Ależ ty, który się mienisz republikaninem, powinienbyś czcić wielkich patryotów. A przecież zraniłeś Cairolego?

— Bah, on przecież nie jest dziś niczem więcej jak tylko lokajem.

*** Figlarz przed sądem.

Pan X., człowiek bardzo wesołego usposobienia wszedł razem z przyjacielem swoim, panem Y., do restauracyi.

Pan Y. zhulał się zanadto, a pan X musiał wcześnie wrócić do domu, z obawy przed swoją magnifiką.

Rozgniewanemu trochę na pana Y. że nie chciał mu towarzyszyć, wprowadzonemu nadto nadmiernem użyciem spirytualii w stan bardzo wesoły, przyszła do głowy chętka wyrządzenia przyjacielowi figla.

— Co on też zrobi, jak ja mu czapkę zabiorę — rzekł do pana Z., z którym razem wychodził z restauracyi...

— E! daj pokój! jakżeż on wróci bez czapki do domu? — monitował pan Z.

— Niech się nie zapija, będzie miał naukę i niech dobrych przyjaciół, którzy mu fundują, odprowadza do domu — rzekł pan Y.

— Ja tam nie chcę się wtrącać — powiedział pan Z., człowiek podobno bardzo bojaźliwy i wybiegł z restauracyi nie czekając na pana X.

Ten ostatni tymczasem podszedł do wieszadła, włożył palto i kapelusz swój na głowę. a biorąc jedną z czapek, również tam wiszących, schował ją do kieszeni.

Już brał za klamkę, gdy ktoś schwycił go za kołnierz.

Pan X. obejrzał się i ujrzał twarz nieznajomą.

— A mam cię złodzieju! — rzekł nieznajomy — oddaj mi czapkę.

Pan X. pomylił się w czapkach...

Powstała wrzawa.

Mnóstwo ludzi otoczyło pana X; nie pomogło tłómaczenie i interwencya pana Y., który zapewniał o uczciwości swego przyjaciela; mniemanego złodzieja zabrano do cyrkułu, a następnie zaskarżono do sędziego pokoju o kradzież.

Stanąwszy w charakterze oskarżonego na posiedzeniu sądowem; pan X. opowiedział szczegółowo rzecz, jak się miała; lecz trudno było dać mu wiarę wobec widocznego faktu kradzieży.

Dopiero przyszedł na myśl oskarżonemu pan Z., któremu zwierzył się z zamiarem wyrządzenia figla; prosił więc sędziego o odłożenie sprawy i zbadanie pana Z. w charakterze świadka.

Na drugiem posiedzeniu sądowem zeznanie p. Z. uratowało figlarza.

*** Było to w miasteczku D.

Przybył „operator odcisków".

Pomimo jednak ogłoszeń i starań, powodzenie jego nie było bardzo świetne.

Ztąd nawet konkluzya, że mieszkańcy D. nie znają... odcisków.

Nagle na murach dobrego grodu D. ukazują się potężne afisze tej treści:

„Produkcye Davenporta, wielkiego magika amerykańskiego."

Program obfity — ceny nie zbyt wielkie — więc o oznaczonym dniu jedna ze świetniejszych sal D. zapełniła się ludem.

Widowisko rozpoczęto.

Składało się ono z 5-ciu, wyraźnie pięciu numerów, zamiast zapowiedzianych piętnastu.

Miniaturowy ów program nie był wcale doborowy i wykonywano go nieświetnie.

Publiczność zaczęła sarkać.

Wówczas wystąpił mniemany Davenport.

— Szanowna publiczności — rzekł — pragnęłaś ujrzeć Davenporta. Otóż omyliłaś się — lecz nie żałuj swego filantropijnego postępku, bo przed sumieniem policzonem ci zostanie, żeś dopomogła nędzarzowi. W imieniu bolejącej ludzkości składam wam podziękowanie szlachetni panowie i panie.

Sykanie było odpowiedzią „szlachetnej publiki."

Mistrz jednak znikł...

Był to operator, który, zrobiwszy zły interes na odciskach, powetował sobie na... naiwności mieszkańców.

*** O elementarz...

Wesoło ubawiła się w tych dniach publiczność, zebrana w sali posiedzeń jednego z sędziów pokoju miasta Warszawy.

X. Włościanin, naiwny prostaczek, wniósł skargę przeciwko jednemu z księgarzy warszawskich p. Z. o... oszustwo!

Oszustwo to miało być następujące:

Przed kilku miesiącami X. kupił u pana Z. elementarz dla syna swego.

— Czy aby się tylko nauczy na tym elementarzu czytać?" — zapytał płacąc pieniądze.

— O bądźcie spokojni — odrzekł pan Z. — to jest jeden z najlepszych elementarzy.

Uspokojony w ten sposób, pojechał do domu i zapędził syna do nauki, wezwawszy do pomocy jakiegoś wiejskiego pedagoga.

Czy chłopcu nie chciało się uczyć, czy też nauczyciel był lichy, dość że upłynęło pół roku i chłopiec nic się nie nauczył.

Ojciec zwalił całą winę na elementarz i na księgarza. Jakiś domorosły prawnik nasunął mu myśl, zaskarżenia księgarza o oszustwo. Posłuchał rady prawnika i podał skargę następującej mniej więcej treści:

„Udałem się z zaufaniem do pana Z., aby mi dał elementarz, na którymby syn mój nauczył się w krótkim czasie czytać. Pan Z. dał mi elementarz, zapewniając, że będzie skutecznym i zapłaciłem mu 15 kopiejek. Tymczasem, chociaż wziąłem najlepszego w całej gminie nauczyciela, bo takiego, co aż dwie klasy w gimnazyum skończył i ten przez pół roku z chłopakiem moim się mordował, jednak dotąd sylabizować się nawet dobrze nie nauczył. Nauczyciel powiada, że chłopak jest zdolny i pilny, ale elementarz zły. Widać więc, że pan Z. nielitościwie mnie oszukał, sprzedając fałszywy (?) elementarz, na którym niczego nauczyć się nie można. Za tę moją krzywdę upraszam jw. sędziego, aby go surowo ukarał i zakazał, aby już więcej takich elementarzy nie sprzedawał i poczciwych ludzi nie oszukiwał".

Skargę tę widocznie zredagował domorosły adwokat wiejski.

Śmiech zebranej publiczności przerwał mowę oskarżonego, który chciał coś powiedzieć na swoje uniewinnienie.

Sędzia pokoju naturalnie oskarżonego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił, a oskarżycielowi dał napomnienie, aby na przyszłość z podobnemi skargami do sądu nie przychodził.

*** Co to może zwyczaj!

Po jednej stronie długiej i wspaniałej galeryi, łączącej izby parlamentu angielskiego, mianowicie w obu jej końcach, ustawione straże nie dozwalały przybliżenia się do jednej ze stron galeryi.

Zwyczaj ten tak się ustalił, że żadnemu z obytych członków parlamentu nigdy nie przyszło na myśl posunąć się nawet ku ścianie strzeżonej.

Jak było w dawnym gmachu, tak też powtórzono i w nowym, gdy izby przeniesiono do dzisiejszej wspaniałej rezydencyi.

Okoliczność ta nie uszła jednak badawczego umysłu Brighta.

Wreszcie po długich poszukiwaniach w rocznikach i protokołach gospodarczych izby dowiedział się on, że kiedyś przed stu przeszło laty, podczas odnawiania gmachu, jedna strona galeryi wówczas ciemnej, pociągnięta farbą nie schła dość szybko, z powodu więc użalań się poszkodowanych, którzy podczas przejścia starli farbę odzieżą, ustawiono dwóch

służebnych dla przestrzegania przechodzących i zwracania ku stronie przeciwnej.

Dzięki dopiero spostrzeżeniu Brigth'a, po tylu latach zbyteczną straż usunięto.

⁂ Co za wypadek!

Na trakcie żółkiewskim, jak donosi jedno z pism — „jadąc do Kulikowa zginął płaszcz szopowy“.

Rzecz osobliwa, jak właściciel mógł puścić go samego w tak niebezpiecznych czasach?!

⁂ Uczeń jednej ze szkół tutejszych miał zadany temat „O przyjaźni“.

Szło o wyliczenie najwierniejszych przyjaciół znanych z historyi starej lub nowszej.

— Kastor i Pollux — mówi uczeń...

— Bardzo dobrze... któż dalej? — prawi nauczyciel.

— Luther i Melanchton...

— Doskonale! ale z bliższych nam czasów?... namyślcie się... co?

— Gebethner i Wolff—odzywa się głos z ostaniej ławki.

WESELE WIEJSKIE U SERBÓW.

Według

Dra Mikołaja Petrowicza.

Das Ausland 1867. Nr. 32.

Obrząd weselny u Serbów obejmuje swatanie i zaręczyny, proston (poślubienie), izwod (zaprowadzenie oblubienicy do domu obłubieńca), ślub z weselem i małe wesele.

Wesela odbywają się u Serbów po największej części w jesieni, albo między Bożem narodzeniem a Wielkanocą. Zaręczyny odbywają się zazwyczaj w poście przed Bożem narodzeniem [1]) Rzecz cała układa się między rodzicami nowożeńców. Gdyby rodzice jednej lub drugiej strony już nie żyli, zastępuje ich najstarszy brat lub wuj.

Pierwszem staraniem jest wyszukanie porządnej dziewczyny, któraby była stosowną dla oblubieńca i jego rodziców. Rozchodzi się teraz o starożytność jej domu, o znaczenie i wzięcie, jakiego zażywa w okolicy ojciec jej, o pożycie rodziców dziewczyny między sobą, o zewnętrzne wejrzenie dziewczyny, o jej wiek, i o zamożność czyli zasobność jej rodziny. Czy ona oblubieńca kocha lub może kochać, to kładzie się na ostatniem miejscu. Dziewczyna nie ma w zamąż pójściu prawie żadnej własnej woli; wola rodziców jest święta i być jej posłuszną, pierwszym obowiązkiem córki.

Skoro powyższe okoliczności czyli warunki zostały zbadane i zadawalają, ojciec oblubieńca zaprasza kilku sąsiadów, zabiera flaszkę wina lub wódki i chleb „(pogaczę [2])“, do którego wetknięto kwiatek, i udaje się z nimi zazwyczaj wieczorem do domu rodzicielskiego dziewczyny. Rozumie się samo przez się, że ci wysłannicy czyli „prosaci“ (tj. proszący, swatowie [3]) mają przy sobie jednę lub dwie strzelby lub pistolety.

W domu upatrzonej dziewczyny jest już wszystko przysposobione i urządzone. Drzwi od domu „prosaci“ zawierają za sobą plecami, co się ma przyczyniać do pomyślnego zakończenia sprawy.

Z początku wszystko ma pozór zwyczajnych odwiedzin; mówią, piją, ale nikt nie zaczyna o właściwym celu przybycia. Gdy się ściemni, przynoszą wieczerzę, a że według powszechnego w Serbii zwyczaju każdy znajdujący się wówczas w domu razem jeść musi, siadają tamże swatowie według wieku do stołu. Dopiero w połowie wieczerzy poprzednio wybrany mowca zaczyna rzecz zazwyczaj w ten sposób: „Dometine,[4]) bracie,[5]) nie pytasz się nas i my ci też nie mówimy, pocośmy przyszli. Nie przybyliśmy, aby jeść i pić, lecz jeżeli wola boża i jeżeli się tobie podoba, uskutecznić pewną rzecz.“

„Bracie, nic nie wiem i myślę, że powiecie, pocoście przyszli.“

„Dobrze, jeżeli wola Boża. W imię Boże chcemy się stać przyjaciółmi między sobą. Jeżeli taka wola Boża i twoja, to nasz przyjaciel Alksa (albo jak się tam nazywa ojciec oblubieńca) chce wziąć córkę twoją Milią (albo jak jej tam na imię) dla syna swego.“

Podczas tych słów mowcy, ojciec oblubieńca wyjmuje z torby pogaczę i sięga do kalety, jak gdyby chciał na niej położyć pieniądze.

Ojciec dziewczyny zaś następującą daje odpowiedź: „Czekaj, bracie, nie ma potrzeby kończyć zaraz sprawę; posłuchajmy, co młodzi myślą, bo na młodych spoczywa przyszłość.“ Co rzekłszy wychodzi i posyła matkę lub ciotkę do córki aby się dowiedziały o jej usposobieniu. Jeżeli to jest pomyślnem, i ojciec też na ten związek zezwala, wówczas powróciwszy do izby, zaczyna sposobem uprzejmym rozmawiać z gośćmi; w przeciwnym wypadku wraca z zachmurzonem obliczem i rozmaite przytacza wymówki, np. że dziewczyna jeszcze za młoda, że wyprawa nie jest gotowa, i t. d. Jeżeli ojciec i córka przystają na żądany związek, wówczas następuje „izwod“, to jest przyprowadzenie oblubienicy. Prowadzi ją jeden z braci, idąc obok niej; ona całuje wszystkich gości w rękę, ojciec oblubieńca kładzie czerwony złoty na stole jako „darowiznę“ (dar, darowiznę) dla domu, wszyscy powstają, ściskają i całują się. Odtąd obie rodziny zowią się „przyjaciółmi,“ który to wyraz w Serbii tyle znaczy co powinowaty lub krewny. Zarazem jeden z gości strzela, ażeby cała wieś wiedziała, że w tym domu właśnie odbyły się zaręczyny.

Poczem następuje narada, kiedy się ma odbyć „prsten“ czyli poślubienie, i jakiemi podarkami uczcić ma oblubieniec oblubienicę i jej krewnych. Gdy i to zostało załatwionem, swatowie odchodzą do domu.

Pierwszem staraniem ojca oblubieńcowego jest obmyślenie podarków dla przyszłej synowy, jej braci i sióstr. Każdy musi coś otrzymać, choćby drobnostkę jaką. Zwykłemi podarkami są suknie, rzeczy ku ozdobie służące i obuwie. Ubioru ślubnego oblubienicy dostarcza ojciec oblubieńca.

Gdy nadejdzie czas zaślubin, wszyscy udają się znowu do domu oblubienicy. Przy zaślubinach także kobiety znajdować się mogą. Wobec parocha przyrzeka oblubienica oblubieńcowi dozgonną wierność. Związek w ten sposób zawarty, tylko sądownie rozwiązany być może. Obrząd kończy się jedzeniem i piciem w późną noc.

Na wesele zaprasza się tyle gości, ile ich dom objąć i ilu gospodarz ugościć może. Goście schodzą się w domu oblubieńca. Jeżeli wieś, w której oblubieniec mieszka, nie jest odległa, wówczas w sobotę idą po „dewijku“ (po dziewczynę), w przeciwnym wypadku już w piątek.

Gości weselnych „swatami“ zowią. Głównemi osobami między nimi są „kum,“ „stary swat“ czy „starojko“ i „dewer.“ „Kumem“ zowią w Serbii nie tylko ojca chrzestnego, ale też świadka ślubnego. Pierwszy świadek zwie stę „wenczanim“ (wieńczanym) „kumem.“ On z pierwszym swatem (starym swatem, starojką, starostą), winien postarać się o muzykę i zapłacić ją, oraz baczyć aby wszystko odbyło się w porządku. „Dewer [1])“ towarzyszy przez cały dzień oblubienicy. Jest nim zazwyczaj brat albo jaki zażyły przyjaciel. Po weselu oblubienica bratem go zowie.

Jeżeli weselnicy są bogaci, wówczas mężczyźni jadą konno, kobiety na wozach; jeżeli są ubodzy, wszystko idzie pieszo, prócz jedynej oblubienicy, ta bowiem zawsze jedzie. Woza dostarcza oblubieniec. Siostry oblubieńca jadą w nim do oblubienicy. W okolicy bardzo górzystej oblubienica jedzie na koniu. U oblubienicy goście zasiadają do zastawionego stołu i oczekują oblubienicy.

Wreszcie przyprowadza ją brat, trzymając za rękę, bo w Serbii na wsi nie ma zwyczaju prowadzenia się pod ramię. Oblubienica całuje wszystkich obecnych w rękę, poczem ją brat dewerowi pod opiekę oddaje. Za panowania tureckiego „dewer“ był zawsze dobrze uzbrojony, albowiem Turcy napadali bardzo często weselników, aby im odebrać oblubienicę. Nie obeszło się więc bez bójki, w której nieraz oblubienicę zastrzelono. Następują śpiewy, strzelaniny, wreszcie zbierają się wszyscy do domu oblubieńca. Kilku młodych ludzi udaje się śpieszno do świekry, aby ją uwiadomić o przybyciu weselników Zwiastunów tych zowią „musztulugdiami.“ Każdy z nich otrzymuje podarek poczem wracają do weselników.

Na wzmiankę zasługują tutaj następujące jeszcze zwyczaje. Oblubienica nie bierze z sobą ani nożyczek ani igły, gdyż w pierwszym roku chłopca sobie życzy. Wdziawszy nowe trzewiki, oblubienica daje stare tej z pomiędzy przyjaciółek, której rychłego życzy zamążpójścia, mówiąc do niej: „Idź moją drogą“. Aby mieć władzę nad mężem, stara się oblubienica w dzień weselny oblubieńcowi stąpić na nogę. Inne patrzą w tym celu na oblubieńca przez uzdę. Wstępując po raz pierwszy do domu oblubieńca, spogląda oblubienica ku belkom dachu. Ile belek za pierwszem spojrzeniem zobaczy, tyle synów mieć będzie.

Po przybyciu do oblubieńca, tańczy się kolo (koło), ulubiony taniec serbski, przyczem bez przestania spiewają. Oblubienica rzuca do środka koła trzy jabłka. Natychmiast ustają wszyscy tańczyć i rozchwytują te jabłka. Potem bierze oblubienica małe dziecko, całuje je po głowie i oddaje temu, od kogo je wzięła. Z przetaku rzuca ziarna na dach, a potem i sam przetak. Goście chwytają go i w kawałki targają.

Nazajutrz „tj. w niedzielę, idzie się do kościoła do ślubu. Podczas dawania ślubu kum i stary swat trzymają za oblubienicą każdy dwie świece woskowe. Oblubieńców nakrywa się wełnianą lub jedwabną materyą, z której potem oblubienica robi sobie suknie; ręce związują im ręcznikiem.

Z kościoła wracają do domu oblubieńca, gdzie obiad już gotowy i stół nakryty.

Podczas obiadu pokazują podarki, które oblubienica otrzymała od weselników i krewnych, przyczem niemało jest żartów.

Oblubienica stoi bezustannie z dewerem za kumem i starojką i musi być świadkiem wszystkich żartów aż do końca obiadu pojawiających się.

Z tą niedzielą kończy się obchód weselny. Tylko w bogatych okolicach, w Tumnawie, Maczwie, Morawie, wesele przeciąga się do poniedziałku i zwie się małem weselem (mala swadba). Na nie zapraszają tylko krewnych, kuma, starojkę i dewera.

Po kilku tygodniach zjawia się dewer z kądzielą dla młodej mężatki, przynosząc zarazem trochę wełny.

Pierwszego roku zamęźcia młoda mężatka nie śmie chleba piec. Winna ojcu i braciom męża co wieczór zdejmować obuwie i postarać się, aby takowe wyschło i zostało oczyszczone.

Omywa także nogi rodzicom męża, lecz nigdy mężowi. Mówiąc o mężu, używa zawsze tylko zaimka trzeciej osoby. Tam np. nie powie ona nigdy: „To należy mężowi mojemu“, lecz tylko: „To mu należy“. Co dzień z rana musi młoda mężątka w czas wstać, przynieść wody i przygotować wszystko rodzicom męża do mycia się.

Winna także oczekiwać zawsze ojca męża i odprowadzać go. Każdy w domu otrzymuje od niej jakieś miano; bracia męża zowią się „brat, aga, kochany, pan“, siostry „królowa, panna, siostra i t. d.“ Wychodząc w stroju ślubnym, ma zawsze chustkę od nosa w ręce, którą trzyma przed ustami, gdy co mówi. Czynią to także bardzo często dziewczęta. Jeżeli wesele odbyło się w jesieni, młoda mężatka na boże narodzenie musi bydłu dać soli.

Odbycie obrzędów weselnych, począwszy od zrękowin, zajmuje wiele czasu i wiele też kosztuje. Lecz Serb lubi sobie życie uprzyjemnić, całą duszą przywiązany jest do rodziny i nie szczędzi dla niej żadnych ofiar. Rozrzutność ta ma atoli także złe skutki, albowiem jeżeli rodziców dziewczyny jakiej nie stać na opędzenie kosztów połączonych z porządnem odbyciem ślubu i wesela, z wszystkiemi obrzędami zwyczajowemi, wówczas dziewczyna potajemnie opuszcza dom rodziców, nie powracając więcej do niego.

Następstwem tej ucieczki bywają nieraz zacięte bójki, przy których nie obejdzie się bez zranień a nawet zabójstw. Wreszcie wdaje się w to wójt lub paroch, obopólna niechęć łagodzi się, i rzecz kończy się prostem, taniem weselem. Gdzie atoli nie podobna w ten sposób sprawy zakończyć, sąd wdać się w nie musi. Zresztą traci dziewczyna opuszczająca w ten sposób dom rodziców dobre imię i krok ten bywa zawsze źle widziany i ganiony. Mimo to wypadki te zdarzają się, wszakże jedynie dla kosztów, które za sobą pociąga cały obchód weselny, z jednej, a ubóstwa nie mogącego im podołać, z drugiej strony.

Dr. Eugeniusz Janota.

---

[1]) Między 26 listopada i 6 stycznia.

[2]) Chleb praśny na węglach upieczony.

[3]) „Prosakiem“ może być tylko zażyły przyjaciel lub powinowaty.

[4]) Tak zwą gospodarza czyli pana domu.

[5]) Ludzie tego samego wieku we wsi, chociażby się nie znali, braćmi się zowią między sobą.

[1]) W języku polskim „dziewierz“ oznacza brata męża i ojca męża (świekra).

Treść Nr. 69.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.